

PISMO ILLUSTROWANE DLA RODZIN.

№ 11. Warszawa, dnia 4 (16) Marca 1876 roku. Rok 12.

CENA PRENUMERATY

Warszaw. z odn. do domu	na prow. w Cesar. i Królest.
rocznie . . . . . rs. 6 k. „	rocznie. . . . . rs. 8 k. —
półrocznie . . . „ 3 „ „	półrocznie. . . . . rs. 4 k. —
kwartalnie. . . „ 1 „ 50	kwartalnie . . . . rs. 2 k. —
miesięcznie. . . „ „ 50	w Krakowie rocznie z stemplem dzienn. Złr. 10. w Galicyi Złr. 11 cent. 50. w Prusach roczn. 24 marek.

OPIEKUN DOMOWY wychodzi raz na tydzień, we Czwartek.

REDAKCYA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 72 NOWY.

Skład Główny w Warszawie, w kantorze drukarni Wydawcy J. Korzeniewskiego, Št.-Jerska, 12; w *Poznaniu* w księgarni Leitgebra i Spółki, we *Lwowie* w Księgarni polskiej, ulica Kopernika Nr. 12, w *Krakowie* w księgarni Gebethnera i Społki, *w Wilnie* u J. Zawadzkiego.

NUMER POJEDYNCZY KOP. 15.

REFORMA SĄDOWA.

I.

Z dniem 1 (13) lipca 1876 r. mają pozyskać u nas moc obowiązującą istniejące obecnie w Cesarstwie przepisy o organizacyi władz sądowych, zawarte w ustawach z d. 20 listopada 1864 r., a to według zmian i ograniczeń wskazanych w Najwyżej zatwierdzonem postanowieniu o zaprowadzeniu reformy sądowej w królestwie Polskiem z dnia 19 lutego 1875.

Odpowiedni wymiar sprawiedliwości jest rzeczą tak blisko dotyczącą najrozmaitszych stron działalności społecznej, że zamiana istniejących urządzeń nowemi, winna zwrócić pilną uwagę każdego obywatela, dbającego o własną pomyślność, jak i sprawy ogólne.

Poznanie zasad przyszłej organizacyi sądowej, jest jeszcze bardziej naglącem z tego powodu, że dopuszcza ona w daleko szerszym zakresie aniżeli to miało miejsce dotychczas samych obywateli do wzięcia czynnego udziału w wymiarze sprawiedliwości. Gdyby zresztą i ta okoliczność nie zniewalała nas do rozpatrzenia się w przepisach, które wkrótce staną się obowiązującemi, gdybyśmy tylko mieli korzystać z niezależnych od nas sądów państwowych, to i wtedy dokładne ich poznanie, byłoby pożytecznem i nieuniknionem. Pozwoliłoby nam ono skorzystać z ich zalet, a zabezpieczyć się o ile można od wpływów szkodliwych.

Powodowani temi względami postaramy się przedstawić w głównych zarysach przepisy dotyczące przyszłej organizacyi sądowej.

Zaczniemy od sądów gminnych i na nie zwrócimy większą uwagę z dwóch powodów. Gmina bowiem jest z jednej strony najbardziej zasadniczą formą społecznej budowy, a z drugiej przedstawia ona najszersze u nas pole dla działalności czysto społecznej.

Zanim jednak zastanowimy się bliżej nad tym przedmiotem, powiemy słów kilka o ogólnym charakterze reformy.

Zasadą dobrego urządzenia instytucyj państwowych jest zupełne oddzielenie władzy sądowej od wykonawczej, administracyjnej i prawodawczej, w zakresie zaś jej własnym takie urządzenie, ażeby ono najstaranniej zabezpieczało wymiar sprawiedliwości na podstawie istniejących praw i postanowień. Środkiem, wiodącym ku temu, według zdania ludzi kompetentnych, jest dobre urządzenie sądów państwowych i powołanie samego społeczeństwa do wzięcia udziału w sądownictwie. Drugi ten warunek osiąga się przez ustanowienie sędziów przysięgłych z pośród mieszkańców danego kraju, którzy uczestnicząc w sądach wyższych orzekają o winie lub niewinności podsądnego, i przez pozostawienie mniejszych spraw cywilnych i kryminalnych wybieralnym sędziom.

Na pierwszy zaś warunek t. j. na dobre urządzenie sądów państwowych, składa się wiele bardzo okoliczności, pomiędzy któremi największą gra rolę jak największa prostota w urządzeniu i szybkość w wykonaniu, obok zajęć odpowiednio podzielonych i obsadzonych przez ludzi wykwalifikowanych. Wyraża się to w ustanowieniu małej liczby instancyj sądowych obok instytucyi kassacyjnej, czuwającej nad działalnością sądową, w uwzględnieniu interesu obu stron zapozwanych, a szczególniej pozwanego lub obwinionego, w połączeniu nareszcie sądownictwa cywilnego z kryminalnem, obsadzeniu posad przez ludzi, którzy otrzymali specyalne wykształcenie i t. p.

Dotychczasowa organizacya sądowa, ani nawet w części nie odpowiada powyższym wymaganiom, a nadto pomimo tego, że przetrwała u nas około lat 70, nie związała się ściśle z potrzebami społecznemi i przedstawia obraz chaotyczny, nie spojony cementem jednolitych zasad i logiki.

Organizacya władz sądowych z d. 20 listopada 1864 r. obowiązująca obecnie w Cesarstwie, z wielu bardzo względów odpowiada słusznym wymaganiom i przedstawia system ścisły i zaokrąglony, oparty na najnowszych pojęciach o zadaniu sądownictwa. Widzimy tam prostotę ogólnego planu i ścisłe oznaczenie atrybucyj pojedyńczych władz, obok sądów przysięgłych i wybieralnych sędziów pokoju. Program nie pozostawia nic do zarzucenia.

Ustawy te jednak wprowadzone będą do królestwa z niektóremi zmianami i ograniczeniami. Możemy się tylko pocieszać tą okolicznością, że zmiany te według niejednokrotnego orzeczenia prawodawcy, w wielu razach przedstawiają się tylko jako przepisy czasowe, które w przyszłości będą usuniętemi. Obok powyższych, reforma napotka wiele trudności wynikających z licznych powo-

dów, pomiędzy któremi ważną będzie grać rolę i ta okoliczność, że reforma dotyczy tylko prawa tak zwanego formalnego t. j. organizacyi, podczas gdy prawo materyalne pozostanie niezmienionem, i że zmienia się dotychczasowy język używany w sądownictwie na rossyjski.

Wszystkie te i wiele innych przyczyn muszą wpłynąć na obniżenie doniosłości samej reformy, dopuszczają jednak nadzieję, że będzie to tylko złem przejściowem, i że ono nastę pnie stopniowo zmniejszać się będzie, podczas kiedy jednocześnie występować będą wyraźniej strony dodatnie.

Pomimo wszystkich tych niedogodności przyszła reforma nie tylko, że przedstawia bardzo szerokie i swobodne pole dla działalności sądowo-społecznej w sądownictwie gminnem, lecz nawet w porównaniu z takiemiż sądami w Cesarstwie jest ważnym krokiem naprzód po drodze udoskonalenia. Podwójny więc powód skłania nas do zajęcia się niemi.

Wracając jeszcze do istniejącego obecnie sądownictwa zaznaczamy, że będzie ono zamienione na nowe w ten sposób, że sądy gminne po wsiach, sędziowie pokoju w miastach i zjazdy sędziów pokoju zastąpią dotychczasowe sądy gminne, władzę sądową burmistrzów i prezydentów, wydział sądowy przy zarządzie oberpolicmajstra miasta Warszawy, sądy policyi prostej i w części sądy policyi poprawczej. Nowe sądy okręgowe zajmą miejsce dotychczasowych trybunałów cywilnych, sądów kryminalnych i w części sądów policyi poprawczej. Na miejsce wreszcie sądu appelacyjnego mieć będziemy izbę sądową, a dziś istniejące departamenty rządzącego senatu przestaną egzystować jako instancye sądowe i zamienione zostaną przez departamenty kassacyjne rządzącego senatu z miejscem pobytu w Petersburgu.

Reforma sądownictwa gminnego będzie tylko dalszem rozwinięciem i uzupełnieniem ustawy gminnej z r. 1864 i z postanowień komitetu urządzającego. Ustawa gminna poruczyła samorząd gminny zebraniom gminnym i gromadzkim i wybranym na tych zebraniach wójtom, sołtysom i ławnikom. Atrybucye zebrań gminnych i wybranych urzędników są bardzo rozległe i trudno dziś oznaczyć granice przed któremi się kiedyś zatrzymają; nie możemy jednak zajmować się niemi w tem miejscu. Zwracamy tylko uwagę na to, że w gminie dotychczasowej, wbrew przyjętym zasadom, władza sądowa i administracyjna jednoczyła się w osobie wójta, któremu tylko dodawano ławników w zakresie sądowym.

Połączenie to dawało się w części usprawiedliwić niewielkiemi atrybucyami sądownictwa gminnego. Podchodziły tu bowiem w sprawach cywilnych spory o ruchomości i zobowiązania osobiste do wysokości rs. 30 i w r. dopiero 1865 podniesiono je do 100 rubli z włączeniem spraw o ruchomości i nieruchomości spadkowe. W sprawach karnych maximum kary było 7 dni aresztu i 3 rubli, co znowu w r. 1866 podniesiono do 10 rubli. Sąd gminny sądził w pierwszej i ostatniej instancyi i miał nad sobą tylko władzę kassacyjną w zarządach włościańskich.

Przyszła reforma sądowa oddziela zupełnie urząd sędziego gminnego i ławników od władzy wójta, która pozostaje nadal wyłącznie administracyjną, powiększa atrybucye i oswabadzając sąd z pod nadzoru zarządów włościańskich, daje mu drugą instancyę w zjazdach sędziów pokoju, po nad któremi istnieć tylko będzie dla wyroków sądów gminnych departament kassacyjny rządzącego senatu.

Okręg sądu gminnego będzie się składał z 3—4 gmin, które z pośród swoich mieszkańców, posiadających przynajmniej 6 morgów gruntu, nie karanych sądownie i mających co najmniej elementarne wykształcenie, wybiorą sędziego gminnego i jego zastępcę. Atrybucye takiego sądu, składającego się z sędziego gminnego i 2 lub 3 ławników (stosownie do ilości gmin), będą obejmowały: sprawy cywilne o ruchomości i zobowiązania osobiste do wysokości 250 rs. tudzież o posiadanie, służebności i spadek ruchomy i nieruchomy z ograniczeniami; sprawy karne o wykroczenia karane przestrogą, napomnieniem, naganą, pieniężnie do rs. 300, aresztem do 3 miesięcy i wieżą do roku. W pierwszej i ostatniej instancyi wyrokować będzie sąd gminny w sprawach cywilnych do 30 rubli a w karnych do 15 rubli sr. i trzy dni aresztu.

Appelacya, kassacya, jak mówiliśmy, należeć będzie do zjazdów sędziów gminnych i pokoju, oraz sądu kassacyjnego.

Według Najwyższego ukazu o zaprowadzeniu reformy sądowej w królestwie z d. 1 (13) czerwca 1875 roku, przedwstępne czynności, a mianowicie: oznaczenie okręgów sądów gminnych, układanie list wybranych kandydatów na sędziów i ławników, tudzież wyznaczenie funduszów na potrzeby sądu i płace urzędników — poruczone zostały komitetom powiatowym, w skład których wchodzą: naczelnik powiatu, komisarz włościański i urzędnik dotychczasowych sądów. Listy kandydatów ułożone przez komitety przy pomocy wójtów z liczby mieszkańców gminy mających prawo być wybranemi komitety komunikują gminom, a następnie przedstawiają komitetom gubernialnym, które je ostatecznie zatwierdzają i rozstrzygają zażalenia na nieformalność lub niedokładność o ułożeniu tychże. Poczem Gubernator odsyła je naczelnikom powiatów, a ci wójtom dla dopełnienia wyborów. Projekta opracowane przez komitety powiatowe, po rozpatrzeniu ich w komitetach gubernialnych przedstawiają się Warszawskiemu generał-gubernatorowi, a potem ministrowi sprawiedliwości, który je zatwierdza łącznie z 1-ym departamentem rządzącego senatu. Czynności swoje komitety powiatowe winny skończyć w ciągu trzech miesięcy od daty ich otwarcia, w skutek rozporządzenia Warszawskiego generał-gubernatora.

Po dokonaniu tych przedwstępnych czynności wybory odbywać się będą na zebraniach gminnych z list wszystkich gmin, wchodzących w skład okręgu sądowego gminnego, po zatwierdzeniu ich ostatecznem przez komitety gubernialne i porobieniu odpowiednich zmian o ile wniesione były jakie zażalenia.

Listy wybranych kandydatów na sędziów gminnych, gubernator przedstawia ministrowi sprawiedliwości, który albo ich zatwierdza, lub też mianuje inne osoby do przyszłych wyborów. Sędziowie gminni i ławnicy w ciągu ustanowionego dla nich czasu służby z wyborów, mogą być czasowo zawieszani lub uwalniani przez ministra sprawiedliwości.

Jakkolwiek przy odbywaniu wyborów widzimy znaczny wpływ władz administracyjnych i jakkolwiek nie służy sędziom gminnym prawo niewzruszalności — to jednak otwierają one szeroką drogę samoistnej działalności społecznej, od której zależy nie tylko dopilnowanie dokładnego ułożenia list wyborczych i wykluczania z niej tych wszystkich, którzy nie mają prawa być wybranemi, lecz i obranie na urzędy sędziów i ławników, osób, które najgodniej powierzone im obowiązki spełnić zechcą i potrafią.

Na zakończenie zwrócimy tylko uwagę na wysokość płacy sędziów gminnych, która zdaniem naszem niepowinna być wiele wyższą od minimum, ażeby usunąć od tak ważnego urzędu wszelkich karyerowiczów. 300 rs. pensyi i 200 na koszta podróży, zdaje się że byłoby dosyć. Pisarzom za to wypadałoby naznaczyć pensyę stosunkowo wyższą, przynajmniej 400 rs. obok mieszkania, opału... ażeby na tę równie ważną posadę pozyskać ludzi intelligentniejszych.

Obok sądów gminnych istnieć będą po miastach sędziowie pokoju. Sędziowie tacy w Cesarstwie są wybieralni, z pomiędzy zamożniejszych i intelligentniejszych mieszkańców — u nas będą tymczasem naznaczani przez rząd. W 85-iu powiatach królestwa ma być po jednym, a prócz tego osobni sędziowie w Lublinie, Suwałkach, Płocku i Łodzi. Po jednym w każdem z tych miast, w Warszawie zaś będzie ich 11. Sędziowie gminni łącznie z sędziami pokoju tworzą wyższą instancyę sądową. Zjazd pokoju pod prezydencyą naznaczonego przez rząd prezesa zjazdu. Takich sądów ma być w królestwie 20, t. j. po dwa na każdą gubernię. Będą one się składać częścią z sędziów pokoju, a częścią z sędziów gminnych i rozstrzygać będą sprawy sądowe z appelacyi od sędziów gminnych i pokoju w drugiej i ostatniej instancyi.

Tak się przedstawia organizacya sądów niższych w głównych zarysach. Ma ona dla nas szczególny interes w zakresie sądownictwa gminnego, które dokładnie poznać jest jednym z najpilniejszych obowiązków wiejskich obywateli. Z przyjemnością więc możemy im donieść, że grono tutejszych prawników składa już obszerny podręcznik dla sądów gminnych, który jeszcze przed wprowadzeniem reformy ma opuścić prassę.

O organizacyi sądów wyższych powiemy słów kilka w następującym artykule.

PIĘKNE ZA NADOBNE

PRZYSŁOWIE w 1 AKCIE,

napisał

Lambert-Thiboust.

(dokończenie).

CEZARYNA. Nie idź do niej!.... tak, nie idź nigdy więcej do niej a ja ci przebaczę..... Patrz... patrz... błagam cię na kolanach, wło-

czę się u nóg twoich (Hipolit chodzi, Cezaryna za nim na kolanach). Odeślij jej wszystkie listy? Wszak ona do ciebie pisuje, nieprawdaż? Gdzie masz listy (szuka w kieszeni od paltotu). Pokaż gdzie masz listy?

HIPOLIT. Za pozwoleniem.

CEZARYNA (wyciąga list z kieszeni). A widzisz, jeden znalazłam.

HIPOLIT. Więc go przeczytaj!

CEZARYNA (czyta). „Mój kochany! Bądź łaskaw i pożycz mi na dziś fraka mundurowego, bo muszę się przedstawić naczelnikowi. Twój Adolf.“ A co nie mówiłam.

HIPOLIT. A widzisz!

CEZARYNA. Adolf... to nie kobiece imie. Ah! ona pisze do ciebie pod pseudonimem: Adolf. To rzecz najprostsza w świecie.

HIPOLIT. Ale gdzież tam, Adolf to ten mój kolega, który kłaniał się nam niedawno w ogrodzie, nie pamiętasz? blisko wody sodowej... Zresztą przecież to nie może być kobieta, jeżeli pożycza odemnie fraka.

CEZARYNA. Tak, pożycza od ciebie fraka, aby się przebrać za mężczyznę, i łatwiej się spotkać z tobą! Oh! to bardzo dowcipna kobieta.

HIPOLIT (powstrzymując się). Cezaryno, daję ci słowo honoru, czy rozumiesz: słowo honoru (n. s.). Oh! kobiety zazdrosne to gorsze niż morowa zaraza (głośno). Przysięgam ci na wszystko co mam najświętszego że... że...

CEZARYNA (siada obok biórka i płacze).

HIPOLIT. Otóż macie, zaczyna się ulewa!

CEZARYNA (płacze ciągle).

HIPOLIT (zbliża się do niej). Cezaryno, daję ci słowo honoru...

CEZARYNA (coraz głośniej płacze).

HIPOLIT (na str.). Ażeby to wszyscy diabli porwali (siada na fotelu odwrócony od Cezaryny).

CEZARYNA. O... czemu... czemu... mi tego... nie.... powiedzieli..., kiedy wychodziłam za ciebie.....

HIPOLIT. Do kroć set! gdyby twoi rodzice byli mnie uprzedzili, nigdy by do tego nie przyszło. Twoja matka mówiła że ty jesteś aniołem dobroci! (wstaje) ślicznie się ustroiłem, ani słowa.

CEZARYNA (wstaje). Ty, znieważasz moją matkę, nędzniku bez serca.

HIPOLIT. Tak.... tak.... mów dalej.... mów dalej... ładnie mówisz (siada na kanapie).

CEZARYNA. Ty nudzisz się ze mną nieprawdaż?

HIPOLIT. Zanadto się nie bawię.

CEZARYNA. Chciałbyś być w jej objęciach... w objęciach twojej Julii!

HIPOLIT. Tak... tak... tak...

CEZARYNA. Więc przyznajesz (idzie za kanapę). Ja miałabym cię zostawić rywalce? Nigdy! (podnosi nad nim szczypce).

HIPOLIT (spostrzega ją, zrywa się i przechodzi na prawo). Cóż za głupstwa znowu Cezaryno!

CEZARYNA. Tchórzu, lękasz się śmierci!

HIPOLIT. A naturalnie.

CEZARYNA. Żyj więc Heliogabalu... żyj dla niej... dla twojej Julii.... Ja odejdę stąd, i wrócę na łono mojej rodziny.

HIPOLIT. Ale słowo daję, jeśli tak ma iść dalej, to najlepiej zrobisz.

CEZARYNA. Wypędzasz mnie....

HIPOLIT. Eh, cóż znowu..... zostań jeżeli chcesz.

CEZARYNA. Tak... zostać i pilnować domu jak pies na łańcuchu... a pan dobrodziej przez ten czas urwisuje się na mieście... ścierać kurze... sprzątać... Poczekaj, ja ci tu zaraz posprzątam (tłucze wazony, talerze, co tylko ma pod ręką).

HIPOLIT. Prawdziwa japońska porcelana?

CEZARYNA. Poczekaj, ja ci i zegar nakręcę (kręci wskazówki aż słychać pęknięcie sprężyny).

HIPOLIT. Cezaryno!

CEZARYNA. Może ci także poprzyszywać guziki do bielizny? Ja ci tu zaraz poprzyszywam... masz tu swoją bieliznę (otwiera szufladę w komodzie i rzuca koszulę jedną po drugiej w powietrze) hop! hop! hop!

HIPOLIT. Cezaryno! (zbiera koszule i układa na fotelu).

CEZARYNA (silnym głosem). Duszę się... wiedząc jaką delikatną masz żonę... tak jej dokuczać.... O to trzeba być na to nikczemnym!

HIPOLIT. Ja tobie dokuczam?

CEZARYNA (trąc ręką po czole). Co się ze mną dzieje!... o moje nerwy!... (wstrząsa się kilka razy spazmatycznie). Octu! octu!... (krzyczy i nerwowo rzuca się na kanapę).

HIPOLIT (obejmuje ją i podtrzymuje). Biedaczka zasłabła... no uspokój się moja droga.

CEZARYNA. Gdzie ona mieszka, ta twoja Julia, ja muszę ją zabić!... ach octu!

HIPOLIT (wyjmuje z serwisu flaszkę z octem). Masz!... tu jest ocet.... powąchaj.... (klęka przy niej i trzeźwi ją octem).

CEZARYNA (niby przychodząc do siebie). Gdzież jestem?... (spoglądając na męża). On u nóg moich!... czy ja ci co powiedziałam Hipolicie?... może ja cię oskarżałam?... (ponurym głosem). O Boże mój! czyż ja mam prawo!...

HIPOLIT. Jakto?.. co ty mówisz?..

CEZARYNA. Nic.... nic.... ty mnie zdradziłeś!...

HIPOLIT. Ależ nie...

CEZARYNA. Ty mnie zdradziłeś!... wiem o tem... wszak mi to sam wyznałeś... co dowodzi że jesteś szczerym!...

HIPOLIT. Ależ ja się do niczego nie przyznałem!...

CEZARYNA. Przyznałeś się... przed chwilą... ta kobieta której na imie Adolf.... ty wiesz.... zdradziłeś mię.... sprawiedliwie.... jestem ukarana!...

HIPOLIT. Ukaranaś?... za co?... (niespokojny wstaje).

CEZARYNA. Nie pytaj się!.. Moja przeszłość do mnie należy!.. twoja przeszłość do ciebie należy... nasza przeszłość do nas należy!...

HIPOLIT. Ależ mylisz się najzupełniej.... twoja przeszłość do mnie należy.

CEZARYNA (wstaje). Skończmy!... jesteś wolny!... i będziesz pomszczony!... (bierze kapelusz męża). Patrz mój drogi, to twój kapelusz (przynosi go). Wyjdź stąd!... ty ją kochasz... uklęknij przy jej nogach... ale nie mów nic złego o mnie!... jak wrócisz, zmartwisz się trochę... bo ty jesteś dobry... ty masz w gruncie duszę wspaniałomyślną!...

HIPOLIT (bardzo zaniepokojony). Duszę wspaniałomyślną, to zależy od okoliczności... wytłómacz się jaśniej.

CEZARYNA. Nie!... Pocałuj mię.... w czoło jak siostrę.... jestem ukarana.... słusznie ukarana.

HIPOLIT. Ale za co ukarana?..

CEZARYNA (podaje mu kapelusz, przechodzi na prawo). Żegnam cię Hipolicie!... nie zobaczymy się więcej!... Żegnam cię. Pozwól mi patrzeć przez chwilę w twoje dobre oczy... chcę zobaczyć jeszcze twoje czoło.... twój nos.... No! stało się.... włóż kapelusz mój drogi.... idź do twojej Julii.... idź.... O nie obawiaj się niczego... wszak widzisz że ja się uśmiecham... włóż kapelusz... wyjdź mój miły.

HIPOLIT (na str.). Ona ma jakieś okropne zamiary!

CEZARYNA. Żegnam cię mój przyjacielu!.... żegnam cię mój bracie!...

SCENA V.

HIPOLIT sam (trzyma w jednej ręce kapelusz a w drugiej flaszeczkę od octu).

To piekło mnie zabija.... (kładzie kapelusz na kominku i wącha ocet). No, chciałem wzruszeń, za to mam ich teraz aż do zbytku (hałas słychać w drugim pokoju). Cóż tam się dzieje?.. co ona tam wyrabia?.. Chciała mnie oddalić... co za podejrzenie... ja muszę wszystko wiedzieć!.. (bierze za kapelusz i wchodzi do pokoju po lewej stronie).

SCENA VI.

CEZARYNA (wchodzi bez kapelusza i amazonki; włosy rozpuszczone, oczy obłąkane, w ręku trzyma fajerkę z węglami).

CEZARYNA (do siebie). Numer 4-ty panna Hortensya, kobieta namiętna, rodzaj zapamiętały (spoglądając ukradkiem na drzwi za któremi stoi Hipolit). Teraz łotrze będziesz miał namiętności! (głośno tak ażeby Hipolit ją usłyszał). Trzeba raz skończyć!... Życie stało się dla mnie męczarnią!... (stawia fajerkę i siada obok na taborecie). Gdzie jest mieszek?.. a już go mam (bierze go). O Boże mój, udziel mi odwagi!.. (dmucha zapamiętale mieszkiem).

HIPOLIT (szybko wchodząc). Cezaryno! (biegnie do niej).

CEZARYNA. On tutaj (dmucha ciągle); mówiłam ci żebyś przyszedł za dwie godziny... ja chcę umrzeć... ja kocham innego!....

HIPOLIT. Ty!

CEZARYNA (dmucha ciągle). Widzisz więc że muszę umrzeć!.. (zmieniając ton) węgle się nie chcą zapalić, ci węglarze to złodzieje jeden w drugiego.

HIPOLIT. Więc ty kochasz innego?...

CEZARYNA (schylając się). O zabij mnie!.. zabij mnie.

HIPOLIT. Innego?.. nie mnie (bierze mieszek i fajerkę i stawia przy kominku).

CEZARYNA. O to było jeszcze przed ślubem naszym.

HIPOLIT. Więc dla czegóż mnie nic o tem nie powiedziałaś?...

CEZARYNA. Zapomniałam na śmierć. Czy myślisz że z wyprawą to mało kłopotu, żeby jeszcze o takich głupstwach pamiętać?

HIPOLIT. Jak mu na imię?

CEZARYNA. Jego imie... (z dumą) nazywa się Alfred.

HIPOLIT (okropnym głosem i z grożącym gestem). Alfred!

CEZARYNA. O zabij mnie! zabij mnie! jeżeli chcesz!... ale ja jego bardzo kochałam! Serce nie sługa. Z miłością żartować nie można!

HIPOLIT (w passyi). Czy pani mi powiesz nareszcie.

CEZARYNA. Jak go kochałam? Alboż ja wiem? Miałam lat 16, on był tak piękny, tyle miał uczucia, przyszedł, pokochałam go, ot i wszystko... cóż mnie reszta obchodzi! (poprawia włosy i przechodzi na lewo).

HIPOLIT. Ależ to jest nadużycie zaufania!

CEZARYNA (przechodzi na prawo). Cóż mnie obchodzi zaufanie! co dla mnie znaczą przesądy świata, tyrania ojca, gniew męża! Co mnie cały świat obchodzi. Dla mnie wystarcza miłość moja, ja go tak kocham! (przechodzi na lewo).

HIPOLIT. Jaki jest stan tego nędznika, jego zajęcie?

CEZARYNA (z dumą miłości). Profesor gry billardowej!

HIPOLIT. Jakiś ex-markier!

CEZARYNA. Panie! on był pierwszym mistrzem w Paryżu! mogłeś pan uczyć się od niego! Ah! Ah! Ah! i on pyta dla czego ja kochałam Alfreda! Wyjechał do Ameryki ażeby wyrobić sobie stanowisko.... a ja wyszłam przez ten czas zamąż... a on w tej chwili może zbłąkany w pustyni..... ginie z pragnienia..... i zamiera w cieniu palm... lub w szponach jaguara...

HIPOLIT (który siedział obok biórka). A zresztą... cóż mnie to obchodzi!

CEZARYNA. Moje miejsce jest obok niego! On wyciąga do mnie ramiona! on mnie woła! ja muszę jechać za nim! ale mnie potrzeba pieniędzy! wiele pieniędzy! Ah! tu są moje bižuterye... (bierze pudełko z kosztownościami).

HIPOLIT (zrywa sie i biegnie do niej). Ależ... co pani robisz, wszak to prezent ślubny odemnie.

CEZARYNA. A co mnie to obchodzi? czy namiętność może się zastanawiać? Mam pieniądze! Jestem wolna!

HIPOLIT (bierze ją za rękę i odpycha). Ależ ja cię zmuszę do pozostania tutaj.

CEZARYNA. A i owszem, więc się otruję i napiszę do sędziów, że to ty... tak, że ty mnie otrułeś...

HIPOLIT (z otwartemi ustami). Ja!

CEZARYNA. Czyż namiętność zastanawia się? Jestem wolna! mam pieniądze! pieniądze! O Alfredzie! Alfredzie! Alfredzie! (wychodzi na lewo z wzniesioną w górę szkatułką).

SCENA VII.

HIPOLIT (sam po wyjściu Cezaryny wychodzi na przód sceny i mówi smutno). A wszystkiemu winien Berlurot! Rozpatrzmy na zimno moje położenie... Z jednej strony ona ma ochotę połączyć się z jakimś Alfredem, przemysłowcem, którego pozycya w świecie zależy na mówieniu swoim partnerom: „rób pan klapę z matki w róg, albo górą bila, oblatanie na czerwoną.“ — Ładne zajęcie. Z drugiej strony jeżeli sprzeciwię się jej niewinnym zamiarom, zapakuje mnie na całe życie do kajdan. Najlepszy sposób wyjścia jest palnąć sobie w łeb! Na szczęście mam w domu dubeltówkę, chciałem kiedy pojechać na kuropatwy... (idzie na prawo i nie wychodząc ze sceny bierze z za drzwi fuzyę). Włożę cztery kule! to przynajmniej jedna mnie trafi (z rozczuleniem). Mój Boże! umierać tak młodo! I na cóż mnie to wszystko! Byłem tak szczęśliwy! i skarżyłem się na mój los! Dobrze mi teraz! Niewdzięcznemu! Dobrze się zrobiło... Jakiś szmer! to moja żona! (chowa fuzyę za biórko).

SCENA VIII.

CEZARYNA (wychodzi jak w scenie II-ej). Dzień dobry mężusiu! jak się masz pieseczku!.. już tak późno... pewno ci się chce jeść, będziesz jadł obiadek.

HIPOLIT (osłupiały). He...

CEZARYNA. Ach! jaka ja jestem nieuważna... zapomniałam że Ernestyna poszła do obo... do ciotki. Chcesz Polku to pójdziemy na obiad do restauracyi.

HIPOLIT. Do restauracyi?

CEZARYNA. A pewno się boisz, że masz za mało pieniędzy, to weź z twojego kawalerskiego biurka... może nie masz kluczyka... pożyczę ci mojego.

HIPOLIT. Twojego?

CEZARYNA. Tak... kazałam dorobić kluczyk maleńki i otwieram twoje biórko wiele razy chcę.

HIPOLIT. Bah!

CEZARYNA (wyjmuje rękopism Hipolita).

HIPOLIT (na str.). Dziennik mojego życia!..

CEZARYNA. Pójdziemy na obiad gdzie sam zechcesz, ty wiesz, że ja nie jestem wybredna. Ot, zwyczajna kobieta, prosta, taka ckliwa, bez życia...

HIPOLIT (domyślając się). Ale gdzie tam!

CEZARYNA. Cóż robić? nie jestem sentymentalną, uczuciową... nie jestem promieniem księżyca jak panna Malwina... ale mogę nią być jeżeli ci się to podoba. Nie jestem elegantką i lwicą jak panna Karolina, ale nią będę jeżeli zechcesz.

HIPOLIT (żywo). Nie!..

CEZARYNA. Nie mam także potrzeby być zazdrosną jak Adela, bo wiem że mnie kochasz... co zaś do wzburzenia namiętności jak u panny Hortensyi, przyznam ci się, że nie lubię scen przebicia się grzebieniem. Nie, wierz Polku, to wcale mi się nie podoba... ale jeżeli chcesz koniecznie to ja sprobuję; wszak dopiero trzy miesiące jakeśmy się pobrali, samo z siebie to nie przychodzi, ale mam nadzieję że z czasem to przyjdzie, przynajmniej będę się starała.

HIPOLIT. Nie, lepiej zostań jaką jesteś.

CEZARYNA. Dobrze, ale ty przestań płakać nad twoją przeszłością straconą.

HIPOLIT. Ach jakże byłem szalony! Ukarz mnie moja jedyna!

CEZARYNA. Dobrze, naprzód musisz kupić dobry obiadek, a potem pójdziemy do teatru, czy chcesz?

HIPOLIT. Doprawdy, ty jesteś dobra jak anioł.

CEZARYNA. O wiem o tem dobrze. Ale patrz jak się ten ogień źle pali, trzeba go poprawić. (idzie do kominka i rzuca dziennik w ogień).

HIPOLIT. O ty mi tego nigdy nie przebaczysz!

CEZARYNA. Patrz jak się teraz ślicznie pali.

HIPOLIT. Cezaryno! (bierze ją w pół).

CEZARYNA, Hipolicie! (zasłona spada).

Z PAMIĘTNIKÓW
NAUCZYCIELA DOMOWEGO.

(dokończenie).

— Dla czegóż to nie przyszłeś porozmawiać ze mną o nauce? zapytałem. Podobno byłeś obrażony na mnie?

— Niech pan już nie wspomina. Byłbym zaraz przyszedł, ale ponieważ ciocia zaczęła nalegać i namawiać mię jak jakiego smarkacza.... Zresztą wstyd mi było upokarzać się przy *dudkach*. Przepraszam pana, bąknął dość sucho.

— Nie trzeba nigdy czynić tego co pociąga za sobą upokorzenie, a do tego często nas doprowadza źle zrozumiana duma. Nie mówmy o tem więcej, wyrzekłem idąc do ogrodu. Karolek szedł przy mnie milcząc czas jakiś.

— Kiedy bo ja jeszcze nie umiem być tak *wyrachowanym* w postępowaniu, rzekł wreszcie.

— Chciałeś zapewne powiedzieć: rachować się z postępkami?

— Nie, powiedziałem to com chciał powiedzieć. Np. wiedzieć kiedy być dumnym do końca, kiedy ustępować, i zgadnąć zawsze jak z kim trzeba wychodzić....

Zdumiałem się na tak wyrafinowany sposób widzenia rzeczy w tak młodym chłopcu.

— Powiedz mi Karolku szczerze, czy twój teraźniejszy postępek był *wyrozumowany?*

Zastanowił się.

— Powiedz mi, ciągnąłem dalej, czy poczucie słuszności kazało ci przeprosić mię, i sprawiało ci przykrość w oczekiwaniu na sposobną chwilę, czyli też wyrozumowałeś sobie że to jest jedyny sposób wyjścia?... Powiedz mi szczerze Karolku.

— Jeśli mam otwarcie powiedzieć, to jedno i drugie.

— Ja sądzę, że więcej pierwsze, a gdyby mniejszy był dodatek drugiego, gdybyś mię z całą serdecznością ucieszył wyznając winę jak tylko ją poczułeś, byłbyś sobie oszczędził przykrości i czuł prawdziwą pociechę.

Karol jakoś zacnie i po dziecinnemu spojrzał mi w oczy i nic nie umiejąc rozumować uścisnął podaną rękę.

Zmieniłem przedmiot rozmowy, a chłopiec po niejakim czasie rzekł:

— Od razu poznałem że z panem będzie można po ludzku rozmawiać i nie jedną rzecz rozsądną usłyszeć. Zabolało mię wprawdzie gdy pan wczoraj tak od razu mi *odciął*, ale widzę, że inaczej *nie wypadało*. Z pana także musi być *dyplomata*, a jednak ja wiem, że pan z ciocią wojnę będzie prowadził i to mądrą wojnę, bo ten co był poprzednio to wcale nie umiał... To mówiąc chłopiec śmiał się i podskakiwał z radości.

Naraz tak obrzucony niespodziewanemi

spostrzeżeniami i oburzony potrosze, w prawdziwym byłem kłopocie.

— Karolku, rzekłem, chcę żebyć mię uważał za prawego człowieka, chcę nim być zawsze, jak się później przekonasz. Człowiek prawy brzydzi się *dyplomacyą* taką w życiu, człowiek prawy idzie zawsze prosto, tak jak mu nakazuje sumienie i obowiązek...

Dalszą rozmowę przerwał nam służący, który przystąpił spiesznie oznajmiając, że: „Jaśnie pani bardzo prosi pana Karola do siebie.“

— Dobrze, dobrze, odburknął chłopiec, a do mnie rzekł półgłosem:—broni mi z panem rozmawiać, nic z tego nie będzie.

— Proszę cię idź zaraz, odparłem stanowczo. Poszedł, ale nie do dworu. Ja udałem się do siebie.

Jak dziwna mieszanina szczerości i obłudy, sedeczności i wystudzonych pojęć, jaka wreszcie anomalia rozwiniętego nad wiek umysłu w porównaniu z ograniczeniem młodszych braci. Dziwny chłopiec, pociąga ku sobie i przeraża.

Zdawało mi się żem go poznał, i cieszyłem się iż pomimo trudności potrafię go kierować, siłą refleksyi wyrobionej w nim. Nie wiedziałem iż jestem w błędzie. Czas mię dopiero nauczył.

Tymczasem potrzeba skreślić rys systemu naukowego, którego bierną karyatydą chciała mię uczynić ciocia Melania. Niebawem dostałem do wystudyowania ów sławny jej rękopism, kilkanaście arkuszy bitem pismem po francusku, zapełnione górnolotnemi komunałami bez porządku i planu. Na tej samej karcie było o wpływie religii na wychowanie i o gramatyce francuskiej, o bojaźni bożej i temperamentach, o kształceniu serca, nauce historyi it. d., nie czułem się na siłach do zgłębienia tej całej księgi. Wolałem z praktyki o doniosłości tej teoryi przekonać się.

Co uczono dzieci i jak uczono? Aby odpowiedzieć na to, przejrzałem owe niezrównane podręczniki. Były tu kajeta kursu nauk w instytucie „Sercanek“ paryskich, przestarzałe dziełka francuskie i kompilacye samej ciotuni z uświęcającym napisem objaśniającym iż podług nich to właśnie kształciły się księżniczki X. Z polskich książek znalazłem tylko zniszczoną straszliwie gramatykę Sierocińskiego (mniejszą) i stare bibulaste wypisy bez początku i końca, służące głównie do tłómaczenia z polskiego na francuski.

Jak uczono i czego nauczono? Zadawano, powtarzano, i znów zadawano, ażeby święte ziarna mądrości należycie wbić w głowę i przyklepać. Z tych ziarn miał wyrosnąć plon bujny, ale nie wyrósł; ziarna, które nie zgniły zupełnie zostały w stanie surowym, w całej swej patentowanej doskonałości. Chłopcy przebąkiwali coś o Sardanapolu, Nechaonie, o Medei, o Agamemnonie, Zuzannie i dwóch starcach... to była historya. Błąkały im się po głowie sfrancuszczałe nazwy miast, wysp, przylądków różnych części świata, koniugowali słowa francuskie i niemieckie, uczyli się wierszy sążnistych, przepisywali je... Czytali i pisali w trzech językach najhaniebniej, nie umiejąc zdać sprawy z jednego bodaj przeczytanego zdania! Po prostu rozpacz brała gdym się rozpatrywał w owocach systematu gorliwej wychowawczyni; gdym pomyślał, że dla takiego zaśmiecenia głowy, biedne dziecia-ki przez kilka lat, po kilka godzin dziennie męczono nad książką, przy pracy pięciu nauczycieli, także zapewne guwernantek, bon, przy bohaterskich wysiłkach *poświęcającej* się wychowaniu ciotuni! Serdecznie żal mi było dzieci, oburzenie przeciw p. Melanii hamowałem myślą, iż ona przecie najlepsze miała chęci....

Niestety, w wychowaniu częściej niż gdzie indziej dobre chęci muszą usprawiedliwiać prawdziwe zbrodnie!

Cóż mi pozostawało czynić? Czy przekonywać ciotunię, wyzywać ją na dysputy, wyzywać do utarczek podsycających do oporu i osuszających gardło? Całą swą taktykę względem niej ograniczyłem do wypowiedzenia krótko i bez ogródki:

— Dzieci po tylu latach pracy nie umieją nic i gorzej jeszcze niż nic, bo mają spaczone i przytępione pojęcia. Podjąć się mogę nauki ich, jedynie pod warunkiem zupełnej swobody w rozporządzaniu godzinami przeznaczonemi na lekcye. Pod kontrolę poddaję się zupełnie.

Powiedziawszy to, wysłuchałem cierpliwie dwójznacznej odpowiedzi podanej w półgodzinnem utyskiwaniu na przerwy w nauce i zmiany osób nauczających, o ich niedbalstwie, niesumienności etc. etc. Bez zachodu rozpocząłem naukę od najpierwszych elementów, swobodnie i systematycznie. Książek nie używałem prawie żadnych, mowę ojczystą wprowadziłem do wykładu, uprawiając ją z miłością. Ciężko szła nauka, jakby podważanie kamieni zagrzęzłych w ziemię, ale szła po pewnej drodze, cieszyłem się niewypowiedzianie każdym drobnym nabytkiem.

Niedługo wszakże cieszyłem się pokojem. Niebawem padły strzały mściwej walki, której zażegnanie rad byłem okupić choćby własnem upokorzeniem.



Fig. 18. Ziemia w podokresie muszlowym (okres Tryasowy). (Patrz N. 10 pag. 150).

P. Melania przy dzieciach zrobiła mi uwagę iż zaniedbuję języki. Postarałem się najdelikatniej usprawiedliwić swe postępowanie.

— Szkoda wielka że pańskie *talenta* są dla nas stracone, odparła z westchnieniem.

Nazajutrz zaraz odjęto mi część godzin, które ciocia użyła na żarliwą uprawę obcych języków, akcentując jak najdobitniej ofiarę do jakiej jest zmuszona. Przytem strzegła jak najpilniej zetknięcia mego z dziećmi, rozmawiała w mej obecności tylko po francusku, udając, że zapomniała o mem istnieniu na świecie. Wszelkiemi siłami kierowano mię na intruza.

Dzieci przyzwyczajone już widać były do takiego położenia nauczyciela; czułem w tem zaród fałszu, umiejętności maskowania się, podchlebstwa i tym podobnych przymiotów. Przylgnęły do mnie, powaga ciotki jednak ciążyła na nich, czułem że z łatwością podkopać tu mogę ich stronę moralną i tak słabą nadzwyczaj i dla tego dręczył mię taki stan rzeczy. Ale najbardziej mię smuciło o zachowanie się Karola. Sam na sam ze mną otwarty i szczerze przyjazny mi, a nawet ku niemałemu kłopotowi z mej strony buntowniczy względem ciotki i lekceważący ją, w obecności p. Melanii z przymileniem przechodził do jej *stronnictwa*, okazywał dla mnie pozór lekkiej pogardy, a nawet jak dowiedziałem

się po za oczami moim kosztem zarabiał sobie na względy. Poznałem wkrótce że nie tyle zepsucie serca ile lekkomyślność bez granic była powodem takiego postępowania. Pewnego dnia sam wyjaśnił mi swe zachowanie się.

— Niech pan nie ma do mnie urazy, zawołał niepytany, za to że gram rolę pańskiego przeciwnika. Ja wiem dobrze że *ona* nie ma racyi, że jest poprostu niemądra, ale muszę to robić, bo inaczej... O! o! już pan widzę morały zacznie mi mówić że tak się odzywam o ciotce!

— *Morałów* nigdy odemnie nie słyszałeś, odparłem, ale kiedy już zmuszasz mię mówić w tym przedmiocie, to powiedz mi czy ty udajesz tylko przywiązanie do ciotki, która cię tak kocha i podług swego widzenia rzeczy pragnie twego dobra?

— Lubię ją gdy mi ulega, gdy ma o mnie wysokie wyobrażenie...

— Więc pochlebstwo i egoizm, rzekłem na pół do siebie.

— Może to i źle, ale co tam i pan mi przebaczy, bo mi żal szczerze, i ciocia by mi przebaczyła choćby się dowiedziała, że źle o niej mówię; powie że to grzech, wygada się, a potem ucałuje gdy obiecam poprawę...

— I nie myślisz dotrzymać obietnicy, dodałem.

— Owszem, nieraz naprawdę żałuję swego postępku i postanawiam wiele rzeczy... ale co tam. Sprobuję ja wyprosić u cioci żeby mi pozwoliła pojechać z panem na spacer, pan siędzie na siwka, a ja na bułankę...

W tym chłopcu myśl nie trwała długo, uganiał się tylko za wypełnieniem chwilowych życzeń i wszystko im był gotów poświęcić; nie znosił oporu, ograniczenia i jakim bądź kosztem usunąć je spieszył, a usunąwszy zniechęcał się pożądanym przedmiotem, był znudzony, kwaśny, dopóki nowe wrażenie nie nadpłynęło.

Sposób zachowania się Karolka względem nauki maluje jego charakter. Byle podrażnić jego miłość własną, zapalał się do trudności, pragnął jak najzawilszych zadań, za kwadrans rzucał je niecierpliwie, zganiając winę na jaką postronną okoliczność. Do systematycznej pracy nie sposób go było nakłonić; dziś pełen zapału do nauki, nazajutrz nawet przyjść nie raczył, upewniając że kiedyindziej odrobi zaległość z łatwością. Choć ambitny, uczuwał często swą winę i postanawiał, aby nie dotrzymać...

Co dzień odkrywałem nowe, a zawsze przerażające cechy w charakterze tak sympatycznego chłopca, a wpływ mój nie dosięgał go; parę godzin zaledwie miałem go przy sobie i to zawsze pomiędzy młotem a kowadłem. Pierwszy lepszy lokaj, garderobiana, lub szafarka więcej miała zaufania u cioci nademnie. Usuwała odemnie dzieci jak od dotkniętego zarazą. Karolek po większej części przebywał z guwernantką francuską, która (jakkolwiek daleka od opisu mego protektora) starannie odemnie była odgrodzona przemysłem podejrzliwej cioci. Nawiasem tu wspomnieć muszę, że pewnego dnia zastałem Karolka w ogrodzie jak siedząc na jej kolanach namiętnie ściskał ją i całował; ujrzawszy mię zmieszał się bardzo...

Z utęsknieniem oczekiwałem powrotu pana R. aby rozświetlił moje położenie, albo uwolnił mię od obowiązku, choć z przykrością myślałem o porzuceniu pracy która wabiła mię mimo swych trudności, a raczej dla nich właśnie. W ojcu była moja nadzieja, pocieszałem się nią w utrapieniach przymusowej bezczynności, gdy moja praca tak była potrzebna. Czekałem długie dwa tygodnie uzbrojony w obojętność pozorną. Zdaje mi się że i p. Melania czekała nań z upragnieniem, bo gdy dano znać że przyjechał, spojrzała na mnie z wyzywającym tryumfem, uśmiechnięta i rozpromieniona.

Nareszcie! odetchnąłem. Niebawem jednak ogarnęła mię niespokojność, czy nadzieje moje nie skończą się zawodem. Pan R. grzeczny i uprzejmy, wyraźnie wystrzegał się rozmowy dotyczącej dzieci i starannie unikał zbliżenia się do mnie bez świadków. Długo wyczekiwałem chwili stosownej do poufnych zwierzeń, wreszcie przemocą prawie narzuciłem mu się i przyparłem do muru. Mimo całej pewności siebie wyglądał jak schwytany na gorącym uczynku.

— Zmiłujże się pan nademną i nie wymagaj rzeczy niepodobnych, zawołał p. R. po pierwszych moich słowach. Wiem wszystko, mógłbym panu pokazać aż trzy listy Melanii, pisane do mnie podczas mej nieobecności, pełne oskarżeń najstraszliwszych; codzień mi teraz suszy głowę swemi obawami, których (wierzaj mi pan) nie podzielam. Karol jest w panu zakochany, ja ufam zupełnie, radź pan sobie jak możesz, na jego takt się spuszczam, ale odemnie nic nie wymagaj, bo mam ręce związane! To mówiąc uściskał mi rękę i pragnął uciec.

— W takim razie, ja na żaden sposób nie mogę tu pozostawać dłużej.

Pan R. z wyrazem najwyższego zniechęcenia potarł czoło.

— Znów toż samo, mruknął przez zęby, z westchnieniem rzucił się na fotel i wskazując mi miejsce, dodał głośno:

— Mów pan co mam czynić? przecież siostry oddalić nie mogę! I czegóż pan może żądać odemnie?

— Pragnę aby pan chciał poznać swe dzieci, zrozumieć ich stan rzeczywisty, spojrzeć w ich przyszłość, odrzekłem.

— Toż samo mi mówił prawie każdy z pańskich poprzedników, zawołał pan R. smutnym głosem, a jednak jeśli całą prawdę powiedzieć, ja nic tak strasznego ani w ich wychowaniu, ani w ich usposobieniach nie widzę. Wierzę iż siostra ma dużo egzageracyi, uprzedzeń, ale przecie kocha je prawdziwie i ma doświadczenie. Dwaj młodsi chłopcy choć nie orły, są posłuszni, grzeczni, troskliwie pielęgnowani, a Karol, sam pan to poznał, jest chłopiec niezwykły, z najlepszem sercem i nad wiek swój rozwinięty. Czegóż tu więcej wymagać? Nieszczęsny tylko opór Melanii, jej upodobanie w prowadzeniu walki z nauczycielami, oto podług mnie istotna przyczyna pańskiego pessymizmu. Zdanie moje otwarłem w zupełności, *dixi*.

— Najprzód muszę pana uprzedzić, odezwałem się, że wszelką niechęć, jaką p. Melania mogła mię natchnąć usuwam zupełnie na stronę, idzie mi tylko o dzieci. Gdyby pan zechciał przez parę dni tylko wyłącznie zająć się nimi i pilniej je zbadać, poznałby pan że stan ich nie jest wcale tak zadawalniający, jak się na pozór zdaje. Dwaj młodzi mają wszystko co z nich może uczynić skarłowaciałych niedołęgów, zarażonych przewrotnością. Umysły stępione źle podawaną nauką, charaktery zaamalgamowane fałszem, wynaturzone sztucznością, pełne naleciałości zgubnych i reakcyj nieprawidłowych wpływów wychowania... Porzućmy ogólniki, oto są fakta. Zadawalnia pana ich potulność i troskliwe pielęgnowanie, bliżej przyjrzawszy się dostrzedz można, iż ta troskliwość jest zamknięciem ich w bierności i bezwoli. Tak duże już chłopcy zatrzymane są na stopniu niemowląt prawie. Posłuszeństwo zastępuje im myśl i chęć własną; prawidła, formułki wykluczają ich siłą osobistą. Jakimże człowiekiem będzie chłopiec któremu niewolno być sobą, którego każdy ruch skrępowany jest zakazem bony zrzędnej, lub nakazem ciotki? Chłopcy kroku jednego nie potrafią zrobić samodzielnie, a gdzie nadzór nie wystarcza, straszą ich obecnością diabła! Dziś są grzeczne, ale cóż będzie, gdy ciocia przestanie pilnować, a bona napominać... Dziś już takie położenie wyradza wiele niskich przymiotów w tych dzieciach, złośliwość pochlebstwo, plotkarstwo i kłamstwo, niby brzydkie robactwo co osiadło prostotę serc dziecinnych.

Karolek na pozór może stać dowodem przeciwnym przewidywaniom moim, lecz w gruncie potwierdza je w zupełności. Na jego usposobienie, hojnie udarowane od natury inne jeszcze złożyły się przyczyny. Naprzód systemat p. Melanii nie zapanował nad nim całkowicie, jako starszy i silniejszy już indywidualnie, faworyzowany przez ojca i umiejący zapanować nad ciotką, pozostał na stronie *systematu*, który przyczynił się w nim tylko do wytworzenia sceptycyzmu moralnego i kierunku w stronę luźnych dróg życia. Chłopiec jest egoistą, zarozumiałym i lekkomyślnym, będzie przewrotnym, a dobroć serca uczyni go tylko nieszczęśliwym.

— Karol ma wiele rozumu, odezwał się p. R. Przez rozum z nim można wszystko zrobić, wszystko wytłómaczyć, do wszystkiego nakłonić...

— Rozum pod panowaniem lekkomyślności jest sofistą, odparłem, a wreszcie najjaśniejsze rozumowania, najlepsze chęci niczem są przy formowaniu charakteru. Życie, praktyka, działanie jest tu wszystkiem. Można najświęciej rozumować i pragnąć, a być zarazem nikczemnikiem...

— To prawda, odparł zamyślony ojciec, jest w tem część racyi; nie jestem tak zaślepionym ojcem, abym wad mego syna nie widział, dla tego też cieszyłem się bardzo że żarliwie religijny wpływ ciotki da jego moralności silną podstawę, a przynajmniej dla późniejszego wieku przygotuje grunt silniejszy...

— Niech mi pan daruje zbyt śmiałe pytanie, odezwałem się. Czy pan jest istotnie religijnym?

— Niestety, nie mogę się tem pochwalić, odparł z uśmiechem, ale wierzę w umacniają-

cy moralnie wpływ wiary, chciałbym, aby mój syn wierzył i wierzył szczerze. Wiara daje pokój i szczęście.

— Nie przeczę, rzekłem, szanuję głęboko wiarę podnoszącą umysł człowieka, dzielną podporę moralności. Ale doświadczenie nauczyło mię, że biada gdy moralność dziecka wspiera się li tylko na dogmacie, na religijnej grozie, gdy wychowanie nie umoralnia w czysto ludzki, naturalny sposób; nie wciela w życie moralności jako najwyższego dobra mającego cel w sobie; w czystem zadowoleniu serca i umysłu. Cóż się stanie, gdy wiara pierzchnie z duszy młodzieńca zaraz przy wstępie w świat, jeśli w tej duszy moralność nie była celem, lecz środkiem, drogą ku widokom które znikły... Religijność jest dzielną dźwignią wychowania, gdy płynie z serca rozumnej, głęboko wierzącej matki, gdy działa całą potęgą miłości i niebo ściąga ku ziemi; ale nie wierzę w dobroczynność sztucznego odrywania duszy od ziemi, i wyłączne karmienie jej nieziemskim pierwiastkiem.

Wracając do Karola, on już dziś jest sceptykiem do połowy, choć sobie z tego nie zdaje sprawy, jutro w śmieszność podać może pietyzm ciotuni wyniesiony od „Sercanek;“ gdzież będzie jego moralność?...

— Jak widzę zamiarem pańskim jest doprowadzić mię do rozpaczy, wyrzekł p. R. ze zniecierpliwieniem. Jeżeli rzeczy tak się mają, jak pan przedstawia, jakaż rada, gdzież sposoby ratunku? Utwierdzasz mię pan tylko w zamiarze oddania chłopców do Jezuitów.

— Oddaj pan, zawołałem, jeśli tak wierzysz w umoralniające tego zakonu działanie, ale wpierw wyrzeknij się pan świętych praw ojcowstwa z ducha nietylko z ciała. Niech dalej idą w tym kierunku w jakim iść rozpoczęli, niech się wychowują dalej w sztucznej atmosferze na kosmopolitów obcych rodzinnej ziemi. Niech nic nie wyniosłszy z rodziny wejdą wśród dzieci nie mających nic wspólnego z życiem naszem, a wady nabyte w domu rozwiną pod ręką tych mistrzów pozoru. Umyjmy ręce od wszystkiego, to najlepiej! Najlepiej *urodzeni* rodzice tak czynią. Pod okiem własnem wychowywać, to za dużo kłopotu; w kraju, to w złym tonie! Oddajmy dzieci do Jezuitów francuskich, to korporacya tak sympatyczna, tak godna zaufania...

— Zbytecznie się pan unosisz! zawołał urażony p. R. powstając z miejsca.

Istotnie, uczułem, że oburzenie zawiodło mię za daleko, żem popsuł sprawę mniej właściwem zachowaniem się.

— Rzeczywiście, rzekłem, proszę mi przebaczyć. Uniesienie zawiodło mię nie tam gdzie chciałem. Zamierzyłem przekonać a rozgniewałem tylko. Proszę mi przebaczyć, powtórzyłem i skłoniwszy się tylko, poszedłem gotować się do drogi.

Niebawem Karol przyszedł do mnie, gdym właśnie nie bez żalu myślał o rozstaniu się z tym chłopcem i o jego dalszym losie. Wbiegł do mego pokoju, choć nigdy dotąd tego nie czynił, był cały wzruszony.

— Wiem że coś zaszło; pan nas chce opuścić! Pan tego nie zrobi, zawołał rzucając się mi na szyję.

— Nieszczęściem tak być musi. Mimowolnie obraziłem twego ojca, a zresztą mój pobyt tu nie na wiele by się przydał.

— O! pan mnie nie porzuci, zawołał chłopiec z męzką energią.

W pół godziny potem służący przyniósł mi list na tacy.

„Urazy nie mam żadnej, pisał p. R. Nie żądaj pan abym się upokarzał aż do prośby. Proszę o *ultimata*.“

Z mimowolnym uśmiechem zasiadłem do listownej odpowiedzi, tego zwykłego środka nauczycieli domowych w czasie *scen z państwem*. Zacząłem od szczerych przeprosin, właściwe zaś *ultimata* były następujące:

„Żądam prawa do zajmowania się Karolem po za godzinami nauki, i przelanie na mnie tych praw względem dwojga młodszych chłopców jakie ma bona, upraszając o jak najczęstsze wglądanie ojca, w sprawy wychowania i nauki. Wpływu p. Melanii nie zamierzam wykluczać zupełnie, pragnę tylko aby nie był bezwzględny. Co do nauki, żądam swobody do rozwijania umysłu moich uczniów, do wykształcenia w nich ojczystej mowy, tak aby była podstawą do poznania obcych języków. Od tego ustąpić nie mogę, zresztą gotów jestem do wszelkich ustępstw i najmocniej pragnę przyjaznego porozumienia ze stroną uprzedzoną niesłusznie. Nadmieniam przytem, że wszelkie zmiany w sposobie prowadzenia dzieci zamierzam przeprowadzić powolnie, nie narzucając nic, lecz wszystko wywodząc pragmatycznie z istniejącego stanu rzeczy.“

W parę dni potem p. R. spotkawszy mię, sam wszczął rozmowę o dzieciach, bo ja już nieśmiałem go nudzić tym przedmiotem, a przy końcu rozmowy rzekł mi przyjaźnie:

— Znoś pan cierpliwie przeciwności, niedługo to już potrwa; wkrótce wprowadzę w dom żonę, kobietę dobrą i rozumną, będzie nam lepiej.

Nie potrzebuję dodawać iż mię ucieszyła ta wiadomość. Pomyślałem przytem: o ileż szczęśliwsze jest moje położenie od tych co mają do zwalczenia osoby, które niemogą już być zamienione — dobremi i rozumnemi....

Korespondencya Opiekuna Domowego.

Zurych, 16 lutego 1876 r.

II.

(dokończenie).

Dla przykładu wezmę lasy należące do kantonu zurychskiego (wychodzę po za obręb miasta Zurychu z konieczności, bo lasu należy do miasta bardzo niewiele), korzystając ze sprawozdania głównego zarządu leśnego z roku 1874. Ilość lasu w kantonie, podlegającego nadzorowi policyjnemu wynosi 59,612 juchartów (około 1,014 włók); większa połowa (31,000 juchart) starego lasu, składającego się z sosny, jodły, dębu, buku i grabu; brzozy polskiej tu prawie się nie spotka; z tej liczby 5,470 juchartów należy do kantonu, 54,142 do gmin i korporacyj; lasy prywatne, których w zurychskim kantonie bardzo mało, nie podlegają nadzorowi policyjnemu. Z tego lasu użytkuje się rocznie do 40 tysięcy półsągów (klafter) starego i 16 tys. średniego lasu, czyli mniej więcej 2 półsągi z każdego morga. Czas wzrostu dla starego lasu oblicza się tu na 88 lat, a dla średniego 27 lat. Niektóre gminy, a najczęściej właściciele prywatni, nie zwracając uwagi na ilość, jaką mogą bez uszczerbku dla lasu wyrąbać, ani na wiek jego, zawierali i zawierają z towarzystwami dróg żelaznych niepomiarkowane kontrakty i niszczą bogactwo krajowe.

Co do zarządu gospodarczego większość właścicieli prywatnych, kanton, gminy lub towarzystwa mają dokładnie zrobione plany gospodarcze, gdzie podziały na ucząstki są dokonane stosownie do chęci właściciela, dochować się starego lub średniego lasu na pewnych ucząstkach. Na ucząstku przeznaczonym do wyrąbania w danym roku, nie rąbią do pnia, a zostawiają młodniak; po wyrąbaniu oczyszczają starannie porębę od gałęzi, chrustu, a często karczują takową; przy waleniu drzew rozłożystych starają się o ile można obronić młodniak od uszkodzenia, używając często piły zamiast siekiery i innych środków ostrożności; dla odnowienia wyrąbanego starego lasu wybierają starannie najbardziej obiecujące młode drzewka i hodują je zatem w należyty sposób, obcinając z jesieni zbyteczne gałązki (u jodły niezbyt wysoko) i używając piły zamiast siekiery, którą drzewo zawsze uszkodzonem będzie.

Stosownie do planów w należytym czasie zasiewają zawiadowcy próżne ucząstki, w bardzo troskliwie rozplanowane grządki i w roku 1874 posiane było 2 funty nasion drzew liściowych i 818 funtów nasion drzew iglastych, również już było zasadzono 238 tysięcy flanców drzew pierwszego i 867 tysięcy drugiego rodzaju, na przestrzeni więcej niż 7 włók; w szkółkach było posiano 1,528 funtów nasion i posadzono 1,103,200 flanców. Wybór flanców jest o ile można staranny i sposób zasadzenia ich bardzo troskliwy. Niewdzięczny grunt i mrozy nie zawsze dozwalają szkółkom tutejszym dojść do należytego rozwoju. Popyt na flance różnych gatunków drzew tak jest wielki, że istniejące szkółki nie wystarczają.

Jako dowód troskliwości o los zaznaczę tu, że w tymże 1874 roku było wykopano 24 tysiące stóp rowów dla osuszenia zbyt mokrych miejsc, co mogłoby szkodzić należytemu wzrostowi drzew. Drogi leśne są utrzymywane w większej części w porządku i ogromna uwaga jest zwróconą na należyte oznaczenie granic, przez co tanim kosztem unikają bardzo kosztownych często procesów granicznych. Rewizya granic, statystyka wzrostu drzew i ich wypotrzebowania dopomagają gospodarce racyonalnej.

Co się tyczy zarządu policyjnego, to oprócz specyalnie policyjnych obowiązków, pilnuje on żeby drzewo było wczas wywożone, żeby długo leżące poręby nie płodziły szkodliwych owadów; ustanawia pilny nadzór, żeby wszczynające się z różnych przyczyn pożary były gaszone w samym początku (rzeczywiście pożary nie robią tu nigdy wielkiej szkody) i t. d. Średnia cena lepszego lasu w gminie Schwamendingen 660 rs. za mórg, gorszego 600 i mniej.

Jednak pomimo tej staranności w polu gospodarki leśnej, wszyscy troskliwi o kraj ludzie, wymagają ścisłych praw leśnych dla prywatnych właścicieli i mają racyę, bo las zabytek większej części dawnych czasów, nie pielęgnowany ręką jednego pokolenia, jest przedewszystkiem bogactwem i własnością krajową i winien należeć jak do współczesnych, tak i następujących pokoleń. Kiedy się przypomni jak u nas paniczyk, co wart rózeg a nie lasu, zaraz po odebraniu sukcesyi sprzedaje za bezcen całe puszcze i spieszy co najprędzej na bal Mabile lub w podobne gdzieindziej szkoły, to trzebaby szczerze przyklasnąć oczekiwanemu u nas prawu leśnemu. Bo jak niańka puści dzieciaka wolno, to ten z pewnością łeb sobie rozkwasi, jeżeli nie więcej.

Nim przejść do innych działów pracy towarzyskich w Zurychu, zostaje mi jeszcze zanotować płace robotnicze tego działu. Rolnik jak wszędzie tak i tutaj otrzymuje znacznie mniej od robotnika miejskiego. Dzienna płaca przy jedzeniu gospodarskiem wynosi tu od 1 fr. 50 cts.—1 fr. 80, a w pilnym czasie zbioru plonów 2 i 2 fr. 20 cts., bez jedzenia 3 fr., czeladź męzka płaci się od 260 do 365 fr. rocznie, tygodniowo 8 do 9 fr. Parobcy do dozorowania koni i bydła, jako bardziej umiejętni pobierają 400 do 600 franków; dziewczęta do pracy w polu 100 do 150 fr.; za skoszenie morga sianożęci płaci się 14 do 18 fr.; we zwyczaju też jest oddawać winnice na połowę. W takim razie gospodarz otrzymuje połowę zbioru, nie troszcząc się o nic.

Dobry robotnik leśny pobiera do 3 franków dziennie; za zrąbanie pół sąga drew 4 do $4^1/_2$ fr.; w dzień najlepszy robotnik nie wyrąbie nad pół sąga.

Niewiele mówiłem o rolnictwie tutejszem, bo naprawdę niewiele można i powiedzieć. Niezbyt hojnie obdarzyła Szwajcarów natura swemi bezpośredniemi darami, wszystko co mają i mieć mogą, wszystko to owoc ciężkiej pracy. Na łące lub w polu Szwajcar albo Szwajcarka pracuje w kapeluszu, trzewikach, przyzwoitem ubraniu, ale gruboby się pomylił ten coby sądził, że to ziemia tak łaskawa dla pracowników na niej, że na ile ona tu piękna, na ile cudowne są falowania jej powierzchni, na tyle też ona żyzna, że w tych domkach szwajcarskich (prawdę powiedzić, domków szwajcarskich, znanych nam z obrazów i ogrodów wielkich panów więcej u nas, niż tu), właściciele ich tylko tem zajęci, że albo piosnki nucą, lub też trzody pasą.

Nie; ciężką a krwawą pracą zarabiają oni na kawałek chleba powszedniego, ba, nawet i nie chleba, bo najwięcej po wsiach jedzą kartofle zamiast chleba. Nie raz chodząc per pedes apostolorum po wsiach tutejszych, widząc tę krzątaninę mrówki, te maluczkie łączki, ogródki gdzie człowiek ze skały wytworzył życie, te domki choć ubogie, ale schludne, te miasta i miasteczka widniejące się zdala z dymem ich fabryk, wspominałem moją Litwę. Szybko przesuwały się w myśli te rodzinne obrazy, te strony znajome, te Sosnowce, Krzeczowce i t. d. Tu widzę dworek otoczony dużym ogrodem, we dworku mieszka panna Marya, z której czarnych oczu młodzieniaszek wyczyta więcej niż kiedykolwiekbądź wyczytał z książki szkolnej, tu idę znowu aleją, co ze trzy lub cztery wiorsty długa (bodaj to pańszczyzna) przypomina stare czasy, w końcu alei dworek, we dworku panna Zosia miłe i piękne dziecko z jak najpiękniejszym posażkiem, tam dalej znów dworek, gdzie śliczna sierotka ze łzawem oczkiem czeka na tego co łezkę osuszy, tam dalej dworek... tu kurz mi oczy zaściela, co u diabła? Czy na pozór kto pędzi? Nie, to czwórka, choć nie bardzo dobrana, wiezie panicza w najtyczance do sąsiada o wiorstę, tam dzisiaj imieniny panny Emilii... między dworkami wsie długie, strzechy czarne, słomiane, kominów nie widać, okienka malutkie, chata przy chacie pochylone na bok, o kilkanaście stai widać las odwieczny, brudno, brzydko, aż się nie chce patrzeć, no to i nie patrzmy, pójdźmy dalej, ruszajmy w pole, gdzie zdaleka wabią pozłociste fale zboża; na tem morzu złotem myśl odpocznie, tam nic sztucznego, spaczonego jej razić nie będzie. Otóż jesteśmy. Pełną piersią wciągamy w się aromat mas roślinnych, spocone czoło chłodzi wietrzyk polny. Możemy odpocząć myślą i czołem. Ale gdzie tam, robak analizy nigdzie spocząć nie da: te morze złote, szerokie, że krańców oko nie dosięgnie, to chyba praca i własność tej pobliskiej wioski, robiłoby to honor zgodzie mieszkańców jej, że tych łanów niezmierzonych nie podzielili na części.—Nie, szepce wietrzyk, te pole to do dworku; z tego pola brzmi odgłos piosnki żniwiarskiej; zbiorą posag dla młodszej panienki, daj jej Boże tyle chłopców, ile snopów na tem polu. Poczciwe dusze nie zazdroszczą. Ale dajmy temu pokój, to piosnka stara a długa, a są w niej zwrotki, coby znów zbyt smutne myśli nawiały do głowy. Ot wróćmy do Helwetów. Żeby to takie łany, takie bogactwa natury dać tym bardziej o sobie, a nie o drugich myślącym, niepoczesnym a nieruchomym mieszkańcom Helwecyi, możeby dworków z ich pięknemi panienkami, długich wsi pod czarną słomą i t. p. nie było, możeby tylu miast i miasteczek z ich fabrykami nie było tu widać, ale domki, co je znamy z obrazów bawiłyby oko przechodnia i piosnka wesoła dałaby się częściej słyszeć niż teraz. I ten lud powolny, wytężający wszystkie siły inteligencyi swojej nad kwestyą: jak przeżyć? możemy wykazał jakie inne nieznane nam bogactwa swej natury. Praca, ciężka praca od rana do wieczora, z dnia na dzień temu ubóstwu osobnika winna ludzkiego, gdziebyśmy go niezakonstatowali: na brzegach Limatu, jeziora Bodeńskiego lub Renu, czy też na brzegach Słuczy, Berezyny lub Prypieci. Tą pracą społeczeństwo dąży po swojej drodze postępu lub nie, do woli; bogactwo myśli, rozwój jednostki opłaca się wieczną pracą fizyczną kilku innych. Znowu *le profit de l'un est le dommage le l'autre.* Ale ponieważ tak jest, więc czołem przed pracą, niżej czołem przed tym niepokaźnym człowiekiem, bo na każdym bankocetlu, co go mamy w kieszeni, ręka jego napisała: praca, praca i praca.

New-York, 8 lutego 1876 r.

Przed trzema dniami ajent United Stakes Express Kompany pan Cone został zawiadomiony, że szykują się napaść na express-wagon w pociągu do Chicago. I rzeczywiście wczoraj kiedy przyczepiono wagon, w którym znajdowało się 275,000 doll. papierami i 125,000 doll. w złocie, pan Cone wraz z pomocnikiem swoim panem Happin, ukryli się w wagonie, dwóch zaś oficerów policyi i jeden ajent schowali się w bagażowym wagonie. Na stacyi Wauscon do pociągu wsiadło czterech ex-urzędników tejże kolei. Zaledwie pociąg ruszył, rzezimieszki wzięli się do roboty. Najprzód jeden z nich świderkiem wywiercił dziurę w drzwiach wagonu, przez którą zajrzawszy do środka przekonał się, że stróż śpi doskonale. Następnie przesuniętą przez otwór piłką wyciął dziurę wystarczającą do wsunięcia ręki, ażeby odsunąć zatrzask na który drzwi były zamknięte. W tej chwili rękę złodzieja schwytano w żelazne kleszcze i jednocześnie policyanci wyskoczyli chwytając każdy jednego z łotrów. Na platformie kilka stóp powierzchni mającej wszczęła się walka pomiędzy ośmioma ludźmi, w której całem zadaniem policyi było zatrzymać łotrów, chcących zeskakiwać z platformy w największym pędzie pociągu. Chociaż każdy był uzbrojony w rewolwer, nie padł ani jeden strzał. Zapaśnicy walczyli w milczeniu i zwycięztwo długo się wachało, aż nareszcie jeden z policyantów zdołał ogłuszyć swojego przeciwnika, i następnie przyszedłszy w pomoc innym, związali wszys[illegible] napastników. Będą powieszeni.

W Brooklyn p. Simmons z fabryki John et Comp., rodem z Connenticut został zabity przez obywatela Fuchs vel Kretz prusaka swojego największego przyjaciela. Kretz zaprosił do siebie Simmonsa na kolacyę, przy której wesoło się bawili. Kiedy nareszcie zabrakło im wódki, Simmons zaproponował Kretzowi że da mu pieniędzy ażeby nie narażać gospodarza na zbyteczne koszta. Kretz odszedł, ale wróciwszy za chwilę został żoną swoją z Simmonsem w pozycyi wcale nie dwuznacznej. Uniesiony zazdrością chwycił nóż i zabił Simmonsa.

Dotąd wszystko w porządku. Aleksander Dumas przyznałby mu nawet nagrodę Montyona, ale Fuchs popsuł sobie cały interes, bo chcąc łatwiej ukryć nieboszczyka potrańzerował go, i następnie pozawijane w stare gazety kawałki rozrzucał gdzie się dało. Schwytany, przyznał się natychmiast.

Będzie wisiał.

Żona zeznała w sądzie, że upiwszy się przy kolacyi położyła się spać, a co się potem stało nic nie wie.

Na zakończenie powiem wam coś w tym samym guście, ale może dla którego z waszych czytelników więcej interesującego. Pejsak Rubinstein z Płocka rodem, zabił swoję kuzynkę Surę Aleksander przez chciwość. Jutro go mają sądzić. Wyroku przesądzać nie można, może się wykręci od stryczka.

Sieradz, d. 1 marca 1876 r.

Bez szerokich wstępów przystępując do rzeczy, donoszę wam, iż w dalszym ciągu owych zabaw i rozrywek tutejszego towarzystwa o których poprzednio pisałem, w d. 12

lutego dany był wieczór, na którym do samego rana tańczono, a 19 był bal, w którym 120 z górą osób udział przyjęło, a w d. 26 wreszcie wieczór tańcujący, którym Sieradzanie zamknęli tegoroczny karnawałowy sezon. Jak poprzednie tak i ta ostatnia zabawa nader miłe pozostawiły po sobie wspomnienie, nawet w kieszeniach mężów i ojców, bo panie nasze nie sadziły się na toalety. Życzenia więc wynurzone niedawno w łamach waszego pisma szanowny redaktorze, życzenia iżby płeć piękna zawsze i wszędzie więcej treść ważyła niż formę, znalazły dobre u nas przyjęcie, a daj Boże iżby tak we wszystkich zakątkach kraju naszego być chciało!

Kiedy już o zabawach mowa, muszę zaznaczyć, że niedaleko od nas w miasteczku Zduńskiej Woli, staraniem kilku mieszkańców, w dniu 27 z. m. urządzony był wieczorek tańcujący, na którym bawiło się 16 par różnego wieku dzieci w stroje krakowskie przybranych. W temże mieście pod koniec roku ubiegłego dane było na cel dobroczynny amatorskie przedstawienie teatralne, złożone z jednej ludowej sztuki p. t. „Chłopska zabawa.“

W ostatnim moim liście, obiecałem wam także łaskawi czytelnicy donieść o działalności rady opiekuńczej zakładów dobroczynnych naszego powiatu, zwłaszcza, że jej to mianowicie mieszkańcy miasta i obywatele okolicy, zawdzięczają, iż tak dobrze i pożytecznie bawić się mogą [illegible] corocznie o tym czasie z serdecznem [illegible] witają odczyty, będące dla nich zdrowej nauki ziarnkiem.

Mam przed sobą sprawozdanie z działalności rady w r. z. 1875, obejmujące zarazem niektóre szczegóły o stanie zakładów dobroczynnych Sieradza. Stan zakładów tych po miastach prowincyonalnych mało jest znany publiczności. Z tego to powodu uważam za właściwe podać w streszczeniu niektóre wiadomości z tego dokumentu. Trzy mamy zakłady o jakich mowa: szpital, ochronka i dom starców i kalek.

Ruch chorych w szpitalu w r. 1875 był dosyć znaczny; leczyło się w nim bowiem w ogóle osób 263. Średnia śmiertelność wyobraża się w roku 1875 $7,_{0}$, w roku zaś 1874 $9,_{2}$, zatem w ostatnim sprawozdawczym roku umarło mniej o $2,_{2}$.

Dochodu miał szpital w r. 1875 rs. 5,141 kop. 57³/₄, a rozchód wynosił rs. 3,096 kop. 24. Kapitał zapasowy szpitala w końcu 1875 uczynił rs. 2,977 kop. 30 złożone w depozycie Banku Polskiego. Wydatki na utrzymanie całego zakładu: dzienny rozchód na utrzymanie jednej chorej osoby: na pokarm w r. 1875 k. $13,_{1}$, w r. 1874 kop. $15,_{5}$, a zatem w 1875 mniej o kop. $2,_{4}$; na lekarstwa w r. 1875 kop. $4,_{3}$, w r. 1874 kop. $5,_{8}$, zatem w 1875 mniej o kop. $1,_{5}$; na inne potrzeby w r. 1875 k. $28,_{6}$, w r. 1874 $35,_{6}$, zatem w 1875 mniej o k. $7,_{0}$. W ogóle w r. 1875 kop. $46,_{0}$, w r. 1874 kop. $56,_{9}$, zatem w 1875 mniej o kop. $10,_{9}$.

Wydatek na utrzymanie jednego chorego w przeciągu całego roku uczynił w r. 1875 rs. 167 kop. 90, z roku 1874 rs. 194 kop. 40, zatem w r. 1865 mniej o rs. 26 kop. 54, a to z tej przyczyny, że cena żywności w r. 1875 zmniejszyła się od cen roku poprzedniego.

Przechodzę do ochronki. 1 stycznia znajdowało się w niej sierot i wychowańców: chłopców i dziewcząt w ogóle 33. Ubyło w ciągu roku: chłopców 4, dziewcząt 5, a zostało tedy na rok 1876: chłopców 15, dziewcząt 9, razem 24 sierot.

Dochodu miała ochronka w ciągu roku rs. 786 k. 41¹/₂, rozchód uczynił rs. 516 k. 80, zostało więc na r. 1876 remanentu rs. 296 k. 61¹/₂. Kapitał zapasowy z końcem 1875 r. wynosił rs. 1,468 kop. 78, i złożonym jest w depozycie Banku Polskiego.

Wydatki na utrzymanie zakładu: dzienny wydatek na utrzymanie jednej sieroty: na żywność w r. 1875 kop. $3,_{2}$, w r. 1874 kop. $4,_{5}$, zatem w 1875 mniej o kop. $1,_{3}$; na inne potrzeby w r. 1875 kop. $4,_{7}$, w r. 1874 kop. $3,_{3}$, zatem w 1875 więcej $1,_{4}$. Razem w r. 1875 kop. $7,_{9}$, w r. 1874 kop. $7,_{8}$, zatem w 1875 więcej kop. $0,_{1}$.

Wydatki na utrzymanie jednej sieroty w ciągu roku uczyniły w r. 1875 rs. 15 kop. 63, w r. zaś 1874 rs. 17 kop. $57,_{6}$, zatem jedna sierota kosztowała mniej w roku 1875 o rs. 2 kop. $51,_{3}$.

Trzecim a ostatnim zakładem jest dom starców i kalek. W którym w r. 1875 przebywało mężczyzn i kobiet osób 12; przybyło w ciągu roku 1875: osób 3, było zatem razem 15 osób. Z tych umarło w ciągu roku 3 osoby, zostało na rok 1876 12 osób.

Dochody domu przedstawiało rs. 534 k. 3, rozchody zaś rs. 533 kop. 1, zostało więc na rok 1876 remanentu rs. 1 kop. 2. Kapitał zapasowy z końcem 1875 r. uczynił rs. 2,171 znajdujących się w depozycie Banku Polskiego i oprócz tego rs. 540 w ubezpieczeniu hypotecznem, czyli razem rs. 2,711.

Dzienny wydatek na utrzymanie jednego ubogiego: Na żywność w roku 1875 kop. 10, z roku 1874 kop. 10; na inne potrzeby w roku 1875 kop. $2,_{1}$, w roku 1874 ko. $2,_{1}$. Razem w r. 1875 kop. $12,_{1}$, w r. 1874 kop. $12,_{1}$.

Wydatek na utrzymanie jednego ubogiego w ciągu całego roku: w r. 1875 rs. 36 kop. 50, w roku 1874 rs. 36 kop. 50.

Wracając do wiadomości miejscowych, zaznaczam, iż staraniem rady szkolnej w dniu 25 b. m. urządzone będzie przedstawienie teatralne amatorskie, na rzecz szkoły cztero-klasowej prywatnej męzkiej w Sieradzu.

Maksymilian Kempiński.

Odpowiedź na krytykę p. Niewiadomskiego, zamieszczoną w Opiekunie Domowym w N-rze 9.

Wydając na widok publiczny moje poglądy rolnicze, pod tytułem: *„O różnej wartości buraków w cukrownictwie i ich uprawie, tudzież o zużytkowaniu materyj nawozowych atmosferycznych, opartem na nowej metodzie uprawy ziemi,“* — powiedziałem w przedmowie: że na drodze polemiki dam obszerniejsze wyjaśnienie tych zasad, na podstawie których można stworzyć taką szkołę rolnictwa, aby ta lepiej odpowiadała naszym warunkom klimatycznym, kulturze ziemi, małej ilości robotnika i niemożności posiłkowania się sztucznemi nawozami — aniżeli szkoły dotychczas znane.

Spełniam powyższy obowiązek — i zaraz pierwszemu recenzentowi moich poglądów, odpowiadam.

Teoryę tej nowej szkoły rolnictwa oparłem na różnicy temperatury, jaka zachodzi pomiędzy ziemią i atmosferą; tudzież na materyach pożywnych, jakie się znajdują w atmosferze— z których jedne pochodzą z gnicia materyj organicznych, drugie zaś są natury kosmicznej.

Idźmy teraz krok w krok za recenzentem i przypatrzmy się jak on w swej krytyce, dosyć szczegółowej, moje zasady ocenia.

Krytyk powiada: „Według autora, temperatura ziemi do głębokości dwóch łokci, jest o 12 i więcej stopni niższą od powietrza utrzymującego się przy jej powierzchni. Owóż tak znacznej różnicy, nie wykazały dotąd, o ile mi wiadomo, żadne doświadczenia.“

Na jakich doświadczeniach krytyk powyższe powątpiewanie opiera, nie jest mi wiadomo, ale to pewna, że w kraju naszym zdarza się często, iż ziemia na wiosnę jeszcze jest w spodzie zmarznięta, zatem ma tam ciepła stopni *zero*, kiedy w tym samym czasie temperatura powietrza wynosi stopni 12 lub więcej. W lecie temperatura powietrza dochodzi u nas czasami do 28 stopni, gdy tymczasem woda źródlana, mająca taką samą temperaturę, jaką ma ziemia z której wnętrza wypływa, ma tylko stopni 8; zatem różnica dochodzi tu do 20 stopni. Czy te fakta nie są wystarczające do usunięcia wątpliwości, jaką p. Niewiadomski postawił?

Ale idźmy dalej. „Przypuśćmy jednak, mowi krytyk, że ta różnica istnieje rzeczywiście, czyż w takim razie, rosa atmosferyczna może w ziemi aż do dwóch łokci głębokości przenikać? Na to odpowiada nam prosta logita, że rosa tuż przy powierzchni ziemi skropli się, gdyż krople jej zawsze przy poziomie spotykamy, a tem samem nie będzie mogła przedrzeć się nawet do sześciu cali głębokości.“

Na powyższy zarzut tak odpowiadam: powietrze przy temperaturze +1° C jest bardzo wilgotne gdy na stopę kubiczną zawiera ¹/₄ gramma wody; bardzo suche, gdy na +25° C zawiera 1 gram wody, czyli cztery razy więcej niż to pierwsze. Deszcz wtedy powstaje, gdy się powietrze ochładza; rosa zaś, gdy się ono dotyka zimnego przedmiotu. Oto są zasady fizyki, które nam mają posłużyć za podstawę do odparcia powyższego zarzutu. Ponieważ nie wszyscy rolnicy, dla których właśnie prowadzę niniejszą polemikę, znają zasady fizyki, i cyfr wyżej podanych mogą nierozumieć, przeto objaśnię jeszcze takowe następującem zjawiskiem. Podczas zimy temperatura powietrza w mieszkaniach lub oborach ma zwykle ciepła +12 R. powietrze zaś będące: na zewnątrz jest o wiele zimniejsze; gdy więc to zimne powietrze wpadnie przez otwarte drzwi do pokoju lub owczarni, powstaje zaraz mgła czyli para, a to w skutek tego, że się powietrze w budynku oziębiło i nie mogło już zatrzymać w sobie tyle wody rozpuszczonej jak przedtem.

Teraz możemy już przystąpić do wyjaśnienia kwestyi osadzania się rosy w głębszych warstwach ziemi uprawnej.

Butelka piwa lub wina, przyniesiona wśród lata z piwnicy do pokoju, okrywa się natychmiast rosą, dla tego że ściany butelki, mające taką samą temperaturę, jaką ma ziemia będąca na dnie piwnicy, są zimniejsze od powietrza w mieszkaniu. Ziemia, jako ciało stałe ogrzewa się od słońca i powietrza naprzód na swej powierzchni, a następnie to ogrzewanie posuwa się coraz niżej, to jest: że np. w maju rola jest zimniejsza w 12-to calowej głębokości, aniżeli w 6-cio calowej; zimniejsza w 24-ro calowej niż w 12-to i t. d. Powietrze wchodząc porami ziemi uprawnej do tych różnych głębokości, mających różną temperaturę, ochładza się tam więcej, gdzie ziemia jest zimniejsza; więc według powyższego prawa, nie może ono w niższej warstwie ziemi utrzymać w sobie tyle wody, ile jej utrzymuje w wyższych, i nadmiar tej wody, na ścianach porów ziemi zostawia w postaci rosy. Podane tu fakta są wprawdzie pospolite, ale jasne i wszystkim znane, czyli są takiemi, jakim każdy rolnik może na pewno uwierzyć—czy zaś one mają taką samą moc dowodu, jak eksperymenta fizyków i chemików na które się powołuje recenzent, niech o tem dziś sądzą ludzie zdrowego rozumu. Chemia rolnicza lub fizyka rolnicza, nie jest to samo, co fizyka lub chemia ogólna; dla tych pierwszych bowiem otrzymane wyniki z doświadczeń czynionych przez chemików lub fizyków nie wystarczają; bo np. ziemia agronomiczna nie jest taką samą, jak wzięta do doświadczeń, ta pierwsza bowiem ma za podstawę podglebie a nie dno wazonika; także woda destylowana używana do podlewania jest inna od deszczowej, a atmosfera agronomiczna, nie jest to powietrze fizyków złożone tylko z tlenu i azotu. Nie jestem zarozumiałym, ale zdaje mi się, że polemika w kwestyach podniesionych moją książką, da początek fizyce agronomicznej.

Dalej powiada p. Niewiadomski: „Przypuśćmy jeszcze, że i ten fakt w istocie ma miejsce; czyż w tej rosie mieścić się będą wszelkie materye mineralne nawozowe, zaopatrzyć mające ziemię w elementy pożywne? Ależ w takim razie, elementy te wykazałaby nam w kropli rosy analiza chemiczna, która jednak to tylko powiada, że w rosie prócz amoniaku i kwasu węglanego, żadne inne związki nie istnieją“ i t. d.

Pierwszym warunkiem dobrej recenzyi jest: dokładne poznanie i zrozumienie przedmiotu o którym się sąd ma wydać. Czy tego warunku krytyk dopełnił? Nie — bo nie jest w stanie zacytować stronnicy i wiersza gdziebym powiedział, że w kroplach rosy znajdują się materye mineralne. Owszem, byłem nawet tyle ostrożnym, że dla wody deszczowej nie postawiłem takiego wniosku, chociaż mógłbym go bardzo łatwo udowodnić. Ale wróćmy do naszego przedmiotu. Na stronnicy 99-tej powiedziałem: „A że rosa, jak to liczne doświadczenia wykazały, zawiera w sobie dwa razy więcej amoniaku aniżeli woda deszczowa, przeto śmiało możemy utrzymywać, że samo spulchnienie ziemi do takiej głębokości, aby się w niej osadziło tyle rosy ile spadło deszczu na jej powierzchnię, dostarczy ziemi dwa razy więcej amoniaku aniżeli 50 fur nawozu wywiezionego na morg.“ Dalej na tejże stronnicy powiedziałem: że z ilości rosy w ziemi osadzonej można dojść massy powietrza przefiltrowanego przez warstwę spulchnionego pola, a następnie obrachować wiele ono w tej warstwie osadziło pyłku, stanowiącego zarodki istót organicznych; czyli, okazałem tam, że materye stałe, znajdujące się w atmosferze, osadzają się w ziemi nie za pośrednictwem rosy, ale po prostu mechanicznie, to jest, że warstwa ziemi spulchnionej tak samo zatrzymuje w sobie pyły atmosferyczne, jak je zatrzymuje bawełna czyli wata, używana przez chirurgów w miejsce plastrów, przeciw zabezpieczeniu ran od napływu infuzoryj i rożnych zarodków zawieszonych w powietrzu. Prócz tego ziemia spulchniona czyli porowata, zatrzymuje jeszcze i absorbuje z powietrza wiele gazów w niem się znajdujących, a to na zasadzie tego samego prawa, na podstawie którego czyszczą się spirytusy, czyści się i klaruje sok buraczany w fabrykach cukru, to jest, na zasadzie tego prawa, że wszelkie ciała gębczaste mają własność pochłaniania gazów. I właśnie moja metoda uprawy ziemi zasadza się na tem, aby rolnik tego pyłku organicznego, rosy i gazów, jako dających bogaty nawóz mógł jak najwięcej do swej roli z atmosfery ściągnąć.

Jakkolwiek p. Niewiadomski znanym jest ze znajomości chemii i fizyki, i pilnie śledzi za postępem wszystkich nauk przyrodniczych, to jednak ja sądzę że brak mu w tych rzeczach szerokich i samodzielnych poglądów, kiedy swoje twierdzenie, że w atmosferze nie ma materyj mineralnych opiera na doświadczeniu ks. Salm-Horshmar. Chociaż bowiem agronom ten i chemik, wykazał: że owies bez obecności takich pierwiastków jak krzemionka, wapno, soda, potaż, żelazo i manganez, nie może się należycie wykształcić — to z drugiej strony, takie same wiarogodne świadectwa wykazały, że w przyrodzie nie ma takiej ziemi jaką chemicy sztucznie do doświadczeń przyrządzają, ani też tak szczególnych warunków jakiemi oni ziemię przy doświadczeniu otaczają. Nadto najnieurodzajniejsza ziemia jeszcze ma, według Liebiga, sto razy więcej pożywnych pierwiastków, aniżeli ich jeden plon dobry może spotrzebować. Wreszcie sam nawet krytyk zbija swoje powyższe twierdzenie w słowach, zaraz po przytoczeniu doświadczeń ks. Salm-Horshmar, wyrzeczonych: „Karol Müller zaś dodaje, powiada krytyk, że wszystkie te materye zasilające roślina czerpie wyłącznie z ziemi, z wyjątkiem niektórych nielicznych roślin, jak naprzykład mchów pozbawionych korzeni, które całe swe pożywienie czerpią z powietrza.“ Jakaż tu sprzeczność opinii—raz krytyk zaprzecza istnieniu w atmosferze materyj mineralnych, drugi raz powiada, że są rośliny które takie materye czerpią z powietrza; i jeszcze dodaje, że te ostatnie opinie są wyrzeczone przez ludzi gorąco poświęconych rolnictwu. Mchy przytoczone przez krytyka byłyby małym jeszcze dowodem istnienia w atmosferze materyj mineralnych, bo mech rosnąc na skałach, drzewach i t. d., zawsze może z nich tyle materyj zaczerpnąć ile do jego nędznego i tępego wzrostu jest potrzeba—ale rośliny tak zwane *orchidee* czyli *storczyki*, które nie potrzebują nawet skały, bo mają łodygę, liście i korzenie, gdy są na drutach tylko w samem powietrzu umieszczone, trybują bardzo silnie, a co jeszcze dziwniejsze, że w stosunku do swej wielkości wydają kwiat daleko większy niż inne rośliny.

Tyle na dziś o materyach mineralnych atmosferycznych. Skąd się zaś one biorą, a zwłaszcza, czy niektóre z nich są natury kosmicznej, przedmiot ten, jako na teraz za obszerny, odkładam na później do wyjaśnienia.

Zdanie recenzenta wyrzeczone o pługu również nie ma żadnej podstawy. Wszyscy wiemy jakie ma pług zadanie: kruszyć czyli spulchniać ziemię; a że jest wiele narzędzi znanych rolnikom, które czynność powyższą wykonywają tak samo jak pług a nawet lepiej, więc pług co do samej uprawy ziemi, nie ma racyi bytu. Że zaś przez odwracanie ziemi spodem do góry lub mieszanie warstwy uprawnej, pług sprawia to, że powierzchnia, na której dopełniają się posiewy, otrzymuje mniej szczątków organicznych, najpotrzebniejszych młodej roślinie — przeto narzędzie to jest szkodliwe i nie powinno być używane do uprawy ziemi.

Krytyk broni pługa na zasadach fizyologii; na takich samych zasadach ja temu narzędziu przypisuję szkodliwość w rolnictwie. Po czyjejże stronie teraz prawda? Fizyologia powiada: roślina w początku swego rozwoju potrzebuje głównie kwasu węglanego, którego jej dostarczają szczątki gnijących ciał organicznych i atmosfera; a że tych szczątków znajduje się więcej na powierzchni warstwy uprawnej niż w spodzie, naturalny przeto wniosek, że lepiej jest warstwę uprawną zostawić w takiem położeniu, w jakiemby posiane w niej ziarno miało bezpośrednie zetknięcie z powyższemi szczątkami, a mianowicie ze staremi korzeniami, ściernią i t. d., aniżeli te szczątki pługiem od zasianego ziarna oddalać. Ponieważ pług przez przewrócenie warstwy uprawnej spodem do góry, oddala te szczątki od zasianego ziarna, więc konieczny jest wniosek: że albo pług jest narzędziem szkodliwem albo to prawo fizyologii, *że roślina w pierwszym rozwoju najbardziej potrzebuje kwasu węglanego*, jest fałszem.

Pług także jest w sprzeczności z niektóremi prawami rolnictwa i chemii. I tak: przyjęte jest przez agronomów, że szczątki roślinne znajdujące się na powierzchni gruntu — chronią ziemię od zlewania się i skorupienia, i przez to ożywczemu powietrzu zabezpieczają przystęp do jej wnętrza. A że pług przewraca warstwę uprawną tak, że ta jej część, co jest najbogatszą w te szczątki ochraniające, dostaje się na spód a uboga na wierzch, przeto narzędzie to obraża powyższe zasady agronomiczne — obraża je nawet wtedy, gdy w warstwie uprawnej tylko pomiesza ziemię wierzchnią ze spodnią.

Co do sprzeczności pługa z zasadami chemii można między wielu innemi taki np. fakt przytoczyć: woda, według tej nauki, rozpuszcza w sobie kwas węglany, a że to jest prawda nieczem nie zbita — więc gdy pług tak przewróci warstwę uprawną, że wierzchnia jej część, najbogatsza w cząstki organiczne, dostanie się na spód, to wywiązany z nich kwas węglany woda filtracyjna, po

każdym deszczu, zaniesie do podglebia, i ów szanowny materyał zostaje stracony dla wegetacyi.

Pług jest także wątpliwej wartości co do wyniszczania chwastów — owszem według mnie sprzyja on więcej ich utrzymaniu aniżeli niszczeniu, gdyż przez przewracanie ziemi zagrzebuje głęboko nasiona chwastów i one tam długo i w całości przechowują się.

Młode źrebię lub cielę, rolnik otacza najwyższą wygodą i karmi najobficiej, gdy chce aby mu one dobrze wyrosły i należytą korzyść wydały; gdy zaś od roślin żąda tego samego — całkiem odwrotnie postępuje; bo chociaż wzrost rośliny trwa tylko miesięcy trzy, a wzrost konia lat pięć, a przeto młoda roślinka potrzebuje jeszcze lepszego otoczenia i obfitszego żywienia niż źrebię, to jednak rolnik przez użycie pługa wszystko to chowa dla dla niej na starość, często aż na po śmierci. Czyż to nie jest dowodem, że mimo wszystkich akademij, rozjaśniających wzrok i umysł rolnika, on jednak dotąd chodzi jeszcze po omacku około warsztatu swego rzemiosła.

Krytyk nie zrozumiał także mego poglądu na różną cukrodajność buraków i pomieszał dwie rzeczy zupełnie między sobą różne, to jest — mierzenie cukru w burakach pomieszał z tą manipulacyą, która przy ich uprawie procent cukru w nich powiększa lub zmniejsza. W mojej książce traktowałem polarymetr jako taką samą miarę, jaką jest termometr, barometr, areometr, kwarta, funt i t. p. przyrządy, służące do wymiaru jednostek; tylko że *polarymetr* różniąc się od powyższych narzędzi tem że wymierza cukier będący w połączeniu z innemi ciałami, nie może podawać wypadków ścisłych. Co zaś do cukrodajności buraków, powiedziałem najwyraźniej, że ta zależy od rolnika, to jest od środków w jego rękach będących, a temi nie są żadne polarymetry, ale poprostu, jak to na stronnicy 17 powiedziane:

1. Żeby buraków nie sadzić na świeżym nawozie zwierzęcym.
2. Żeby buraków nie sadzić na nawozie mineralnym.
3. Chodować własne nasienie z buraków kształtu workowatego.
4. Sadzić nasienie w odległości 6 do 8 cali.
5. Sadzić o ile możności wczas na wiosnę, aby burak dojrzał — i nakoniec
6. Ziemię utrzymywać w ciągłej pulchności.

Co zaś do ustępu, w którym krytyk powiada: „cóż z tego, gdy z innej strony nam wiadomo, że najlepsze nasienie wydające buraki workowe w dobrej glebie, zrodzi jak doświadczenie wskazało, buraki marchewkowate w gruncie lichym, i przeciwnie.“ W odpowiedzi na to stawiam pytanie: jeżeli na jednakowym gruncie posiane jest nasienie buraków workowatych i marchewkowych, które z nich wyda buraki kształtu cukrodajniejszego?

W mojej książce rzuciłem jeszcze nawiasowo wniosek: że kości, użyte jako nawóz, mogą skutkować tylko pośrednio: raz, jako ciało gąbczaste, przyciągające gazy; drugi raz jako pokarm, służący na wytworzenie istot mikroskopijnych. A że wniosek ten szanowny krytyk także potępił, przeto daję tu szczegółowe objaśnienie.

Większa część naszych roślin w ciągu trzech miesięcy odbywa wszystkie przemiany życiowe, to jest: wschodzą, wzrastają i dojrzewają. Proszę mi teraz dać choć jeden przykład aby kość w takim czasie, bez pomocy istot mikroskopowych, rozłożyła się w ziemi na elementy takiej formy, żeby ją roślina spożyć mogła? Kość, czy to preparowana, czy zwęglona, zadana ziemi jako nawóz, nie ulegnie żadnej zmianie w ciągu trzech miesięcy. Wniosek ten opieram na kościach długie lata tułających się po polach, na kościach używanych przy fabrykacyi cukru, destylowaniu wódek i t. d. W fabrykach cukru rocznie przez węgiel kościany przechodzi soku z dwóch kroć stu tysięcy korcy buraków wyciśniętego, a jednak przy tej manipulacyi kość nasyca się tylko materyami zanieczyszczającemi sok i trochę się rozdrobnia, z resztą swych własności pozostaje bez zmiany. Co jeszcze więcej, że ta sama kość, dla oczyszczenia jej z powyższych materyj, czyli dla jej odświeżenia, traktuje się kwasem solnym lub siarczanym, poddaje się fermentacyi, dla lepszego wytrawienia w niej materyj zanieczyszczających ją, a po wymyciu wodą znowu jest tą samą kością jak przedtem, i ta manipulacya powtarza się przez tyle lat aż się wszystka kość nie zamieni na miał i wypłukująca go woda całkowicie z sobą nie uniesie. W gabinetach anatomicznych, a szczególniej po kościołach, kości tak zwane wielkoludów, zachowują się setki lat w dobrym stanie. Skóry zwierząt wypchanych lub futra, zabezpieczone od robaków (od mola), zachowują się długo i dobrze, lecz gdy się do nich te robaki dostaną, i mają przyjazne warunki, jak np. wilgoć i ciepło, wtedy skóry bardzo prędko podlegają zniszczeniu.

Krytyk o mojej hypotezie, co do kości, tak się jeszcze wyraża: „Owóż chcąc na ten pogląd się zgodzić, potrzebaby przyjąć, że w głębi ziemi żyją jestestwa pozbawione powietrza, tego głównego elementu życia, co naturalnie jest niemożebnem. Z drugiej strony, gdyby kości były spożywane w ziemi przez jakoweś żyjątka, to byśmy nie mieli nawet śladu szczątków organicznych, spoczywających w ziemi od kilku milionów lat lub wieków. Tymczasem paleontologia przedstawia nam poważną seryę szkieletów zwierzęcych, od dawna w łonie ziemi przechowanych.“

Przytoczone tu przez recenzenta skamieniałości, wcale nie osłabiają mojej hypotezy: że zagrzebane ciała na cmentarzach, ciała ślimaków, mięczaków, ryb, i wszelkich zwierząt morskich, są zjadane przez drobne robaczki, i że część tych robaczków, dostawszy się do atmosfery, użyznia ziemię; czyli, że temi samemi materyałami jakieśmy zachowali np. na cmentarzach, i temi, jakie wody powodziowe lub rzeczne do morza zaniosły, przyroda, za pośrednictwem robaczków lub roślin mikroskopijnych, zasila naszych pól roślinność. Czyż fosforescencya niektórych mórz, nie jest tego dowodem? Czyż ta massa mikroskopijnych, fosforycznych robaczków, która oświeca wielkie przestrzenie mórz, nie czerpała fosforu z kości i z ciał, w łonie ich wód zatopionych? Nie wszystkie jednak kości zjadane są przez istoty mikroskopijne, bo znaczna ich ilość zanurzona w morzu, miesza się z namułem, przyniesionym przez wody powodziowe, i razem z tem namułem tworzy przyrost dna morskiego: gdy zaś jaka katastrofa to dno morskie podniesie i na góry zamieni, wtedy kości ochronione tym namułem od zniszczenia przez infuzorye, wystąpią jako *skamieniałości*. Nie tylko kości ale i mięso przechowuje się wieki, jak to mamy dowód na *mamutach* północy, gdy jest zabezpieczone od tych wszechwładnych panów, władających związkami organicznemi ciał żyjących i umarłych.

Kończę serdecznem podziękowaniem p. Niewiadomskiemu za jego recenzyą. Słusznie mu się to należy, bo chociaż jego ocena jest pobieżną, on pierwszy jednak podał mi sposobność szerszego wyjaśnienia moich poglądów. Do podziękowania zobowiązał mnie p. Niewiadomski i tem jeszcze: że wyprzedzając swem słowem specyalnych pracowników na niwie ojczystej literatury rolniczej, dał dowód, że nie lekceważy produkcyi umysłowej własnego narodu.

Z zarzutu zrobionego mi przez recenzenta, że gromadę roślin *lobodowatych*, do której burak należy, nazwałem *chenopodium* zamiast *atriplex*, jako niespecyalista tłómaczyć się nie mogę, powiem tu tylko, że taką samą nazwę jaką ja przyjąłem, czytelnik znajdzie także i w *Encyklopedyi rolniczej*.

J. Boczyński.

ŚLADY ŻYCIA.

Tyle życia ile... w c z y n i e.

XI.

Koncert na dochód stowarzyszenia Ś-go Wincentego a Paulo jak zwykle tak i w tym roku sprowadził do sali Resursy obywatelskiej całe „towarzystwo.“ W prostocie ducha sądziliśmy, że najlepszym dowodem dobrego wychowania jest przyzwoite zachowanie się w miejscu publicznem. Bale tegoroczne zachwiały w nas to przekonanie, a ostatni koncert zrujnował je do szczętu. Odtąd więc, ażeby stać się choć trochę podobnym do ludzi „towarzystwa,“ będziemy na każdym koncercie i zebraniu *gadać* jak najgłośniej i kręcić się na stołku, ażeby koniecznie zwrócić na siebie uwagę. Tak, tak, będziemy. *Noblesse oblige* i nas także.

* * *

Orkiestra pana Różalskiego w zeszłą niedzielę wystąpiła z benefisem dyrektora. Ponieważ podobny benefis jest rodzajem popisu tej młodziutkiej kapeli, wszystkie więc zalety i wady jej skrytalizowały się tego wieczora. Ze względu na znakomite już dziś wyrobienie skrzypków, wróżymy świetną przyszłość dla orkiestry. Na nieszczęście jednak instrumenty blaszane i tołumbas, grzeszą zapałem niepohamowanym, tak, że niekiedy słucha-

czom przypominają się trąby przed któremi padły mury jerychońskie. Cudny walc „le premier baiser“ Lamotha, którym zachwyca się obecnie cały Paryż, stracił wiele na zbyt szybkiem wykonaniu pierwszej części, którą właściwiej byłoby grać zupełnie wolno, pozostawiając inne w szybszym tempie. Wszak na koncertach nikt nie tańczy, zmieniać więc takt wolno dyrektorowi.

Pozwolimy sobie zwrócić uwagę p. Różalskiego na drobną okoliczność. Jan Strauss (ojciec) dyrygując orkiestrą w Wiedniu, niekiedy w czasie wykonywania swych kompozycyj porywał w zapale skrzypce od najbliżej siedzącego i ciął od ucha. Inni dyrektorzy przyjęli to przy wszystkich tańcach, tak, że publiczność może sądzić, że komplet smyczkowy, który wystarcza do symfonii, jest za słabym na tańce, boć trudno przypominać ażeby dyrektor wpadał w zapał przy każdej poleczce lub mazurze.

Przez prawdziwą sympatyę dla samej orkiestry i jej dyrektora, chcielibyśmy ażeby tego nie było. Wszakże i tak pałeczka daje dosyć zajęcia, a jeszcze w obec młodocianych wykonawców.

W ogóle jednak orkiestra dokazuje dziś cudów, bo po kilkunastu zaledwie wystąpieniach, gra daleko lepiej niż wiele innych umyślnie z zamorza sprowadzonych grało.

Tylko trąby ciszej!

* * *

Do wszystkich prawie pism niedawno dołączono prospekt na wydawnictwo siódmego śpiewnika Moniuszki, z niewydanych dotychczas lub wyczerpanych utworów zgasłego mistrza składać się mający. Pomijając całą niewłaściwość tonu w jakim prospekt jest napisany, tonu pełnego wyrzutów względem publiczności za zbytnią oszczędność w składkach na zabezpieczenie niezależnego utrzymania wdowie, nie wątpimy, że sama artystyczna wartość śpiewnika ściągnie znaczną liczbę prenumeratorów. Znając jednak usposobienie publiczności radzilibyśmy wydawcom postarać się o to, ażeby pojedyńcze numery na koncertach poprzednio były wykonywane, albowiem ogół muzykalny daleko chętniej nabywa rzeczy już słyszane, aniżeli utwory nie znane sobie, chociażby odznaczały się prawdziwą pięknością. W każdym składzie nót stosy najpiękniejszych kompozycyj zalegają na półkach, dla tego tylko, że ich nikt nie zna. Co do zarzutu, że kompozycye Moniuszki nie wsiąkły dotychczas w ducha narodowego, sądzimy, że największą przyczyną tego jest trudność akompaniamentu, przechodząca siły średniej mocy amatorów, wiele zaś melodyj tak się już spopularyzowało, że są prawie w ustach każdego co choć kilka tonów wyśpiewać potrafi. Za przykład posłużyć może: „Gdyby rannem słonkiem.“ „Jako od burzy krzew połamany.“ „Prześniczka“ i niektóre z modlitw. Prospekt nic także nie mówi czy pojedyńcze numera osobno będą sprzedawane, przez co jednak z pewnością daleko więcej mogłoby się ich rozejść pomiędzy publicznością.

* * *

Dla przykładu, że krytyka dziennikarska jest niesprawiedliwą, bo zbyt surowo zapatruje się na oryginalne utwory i że zagranicą nawet tacy wielcy ludzie jak p. Lindau gorzej daleko piszą, przedstawiono w naszym teatrze komedyę p. t. Marya i Magdalena.

Treść godna teatru maryonetek, charaktery niebywałe, dyalogi które nic nie mówią, dowcip ciężko niedowcipny, całość wstrętna i nudna nad wszelki wyraz, ot i wszystko co o tej niemieckiej ramocie p. Lindau powiedzieć można.

* * *

Dawno już nie widzieliśmy tak pięknej i sympatycznej publikacyi jak „Album malarzy polskich,“ z którym obecnie wystąpił pan Unger. Każdy z drzeworytów jest artystycznie wykonany, drukarska zaś robota zasługuje na żywą pochwałę. Niska cena albumu bo wszystkiego dwa ruble wynosząca, przyczyni się z pewnością do rozpowszechnienia o którem wątpić ani na chwilę nie możemy. Całość nosi na sobie ślad mistrzowskiego kierunku jaki pan Józef Brandt dał temu zeszytowi.

* * *

W niedzielę odbyło się przedstawienie na dochód „Przytuliska;“ instytucyi, o której ze wstydem przyznajemy się, że nie wiemy, ani gdzie ani kogo przytula.

Że jednak egzystuje i musi być dobrze prowadzoną nie można wątpić, sądząc po niespodziankach jakie corocznie wyprawia publiczności, niespodziankach których sama inwencya już dowodzi niepospolitej znajomości wzięcia się do rzeczy.

W tym roku mieliśmy sposobność widzenia na deskach naszych pani Hoffman artystki teatru krakowskiego, i to artystki pierwszorzędnej.

Rola aktorki w komedyi p. Dumesnil była widocznie wybraną ażeby wykazać wszechstronność talentu gościa naszego, i rzeczywiście ją wykazała. Chociaż z tak małej próby trudno odgadnąć specyalność artystki, o ile jednak zauważyliśmy, najwybitniejszą cechą talentu p. Hoffman jest swoboda, naturalność i najzupełniejszy brak szarży; widocznie gra więcej dla siebie i dla sztuki, aniżeli dla paradyzowych oklasków frenetycznych a często bezmyślnych. O gdyby to można zatrzymać p. Hoffman w Warszawie, na nieszczęście jednak podobno con amore jest przywiązaną do krakowskiej sceny.

Obrazy jak i co rok pięknie ułożone i umiejętnie oświetlone, podobały się bardzo, szczególniej „poezya.“ Muzyczna część poszła dobrze i wszystko byłoby najlepiej, gdyby nie upał i nie ceny przerażające. Z ciekawością oczekujemy sprawozdania o cyfrze dochodu który musiał dojść do jakich 2,000 rubli.

* * *

W sobotę teatr Rozmaitości dał aż dwie nowe komedyjki to jest: Asnyka, „Gałązkę Heliotropu“ i pp. Leterrier i Vanloo „Dziwaków.“

Zestawienie dwóch nowości na jeden wieczór dowodzi ożywienia reżyseryi.

„Gałązka Heliotropu“ jest napisana prześlicznym językiem, którym p. Asnyk, jedyny wybitniejszy talent w młodszym pokoleniu naszych poetów, władać potrafi tak nieraz uroczo.

Ażeby poróżnić Henryka (p. Tatarkiewicz) z bogatą i piękną Amelią (p. Popiel), konkurent do jej majątku Adolf (p. Grubiński) namawia go do oświadczenia listownego, w którym zakochany prosi Amelii ażeby jako oznakę przychylności wpięła we włosy gałązkę heliotropu. List oddany na ręce Adolfa ginie w jego kieszeni, a natomiast podstępny współzawodnik poety chcąc go narazić na niezręczność stroi Amelię w heliotrop.

Stąd nieporozumienie, które jednak wkrótce ustępuje pod wpływem ciepłego uczucia. Przeszkody wprawdzie stawia wujaszek (pan Ostrowski) opiekun panny, którego jednak przekonywa argument o rachunkach z opieki, podobno nie w porządku będących. Jest jeszcze i ciocia (p. Niewiarowska), ale tej rola na drugim planie ciągle się trzyma.

Komedya więc kręci się w intrydze bardzo słabej, ale porywa pięknością słowa.

Panna Popiel, pp. Tatarkiewicz i Ostrowski zmówili się widocznie, ażeby uwydatnić dobrą stronę komedyi i porwać publiczność, co im się najzupełniej udało.

O „Dziwakach“ lepiej zamilczmy, jest to klejonka, która chyba w niedzielę ukazywać się będzie na scenie.

* * *

Na zakończenie odwołujemy się do serc waszych zacne prenumeratorki. Przed niedawnym czasem umarł w Warszawie podoficer straży ogniowej Rutkowski, pozostawiając w najzupełniejszym niedostatku żonę i kilkoro drobnych dzieci. Człowiek ten którego zacność przeszła prawie w przysłowie, ocalił wielu ludziom życie.

Podczas długoletniej służby ratując bliźnich kilkakrotnie ciężko zdrowiem odpokutował walkę z niszczącym żywiołem. Jaśnie oświecony Naczelnik kraju pospieszył ze znacznym datkiem bo 100 rubli na ratunek biednej rodziny i raczył pozwolić na zbieranie składek w tym celu. Zwracamy się do was z prośbą o składkę na rodzinę ś. p. Rutkowskiego, którą redakcya nasza przyjmować będzie z zamieszczeniem nawet datków w oddzielnej rubryce.

CHANCELLOR.

NOTATKI PODRÓŻNEGO J. R. KAZALLON

przez

Juliusza Verne.

(Dalszy ciąg).

XVIII.

Od 31 października do 5 listopada. Rozpoczęliśmy naszą wędrówkę od opłynięcia na około raf, których długość wynosi około ćwierć mili, przyczem z sondami w ręku przekonaliśmy się, że brzegi skał wszędzie prostopadle prawie wpadają w wodę, nadzwyczajnie głęboką u samych stóp rafy, więc bez najmniejszej wątpliwości należy przypuszczać, że tylko gwałtownie wypchnięcie skał partych ogniami plutonicznemi mogło wysadzić po nad wodę całą tę wysepkę.

Co do natury skał, także bez namysłu musimy je uznać za wulkaniczne.

Na około są to słupy bazaltowe, w porząd-

ku rozstawione, których kształt foremny, przypomina jakąś olbrzymią krystalizacyą.

Morze zupełnie przezroczyste przy konturach skał, daje widzieć ciekawe wiązki kolumn graniastosłupowych, na których wyspa jak kopuła się unosi.

— A to szczególna wysepka, mówi pan Letourneur, jej powstanie niedawno nastąpić musiało.

— Tak ojcze, jest to zupełnie podobny fenomen do tego, co miało miejsce z wyspą Julia przy brzegach Sycylii i z gruppą Santorin na Archipelagu. Natura wyrzuciła tę wysepkę umyślnie dla tego, ażeby Chancellor mógł na niej uwięznąć.

— Rzeczywiście, dodałem, musiał nastąpić w tej stronie oceanu jakiś wybuch podwodny, inaczej skały te byłyby bezwątpienia oznaczone na planach Atlantyku, dość w tych stronach zwiedzanego. Zbadajmy je więc z całą starannością i dajmy poznać marynarzom.

— Dobrze, ale czy one nie znikną przy powtórzeniu się wybuchu który je stworzył? odpowiedział Andrzej. Czy wierzy pan, panie Kazallon że niektóre wyspy wulkaniczne mają tylko chwilową egzystencyą, i ta więc może zniknąć zanim geografowie zdążą oznaczyć ją na mappach.

— Nic nie szkodzi mój synu, lepiej jest oznaczyć niebezpieczeństwo którego nie ma, niżeli opuścić niebezpieczeństwo które jest; możesz być nawet pewny, że marynarze wcale nie będą się skarżyli, jeżeli nie znajdą tam rafy gdzie ją naznaczymy na mappie.

— Masz słuszność drogi ojcze, zresztą te skały mogą istnieć tak długo jak i lądy nasze. Jeżeli jednak miałyby zginąć, to dla Kurtisa i dla nas byłoby najdogodniej, ażeby to stało się po wyrestaurowaniu okrętu, tym sposobem uniknęlibyśmy trudów spychania na morze.

— Wyborny jesteś mój Andrzeju! chciałbyś rządzić jak władca siłami natury! Chcesz ażeby ona wznosiła lub pochłaniała skały, według twojej woli lub twoich osobistych potrzeb, i po stworzeniu tej rafy wyłącznie dla zatrzymania Chancellora, kiedy już ustanie potrzeba, ażeby ją usunęła, gdzie chce, byle nam tylko nie robić subiekcyi.

—Ależ nie, panie Kazallon, owszem najserdeczniej się modlę, dziękując Bogu, za widomą łaskę nad nami, i proszę ażeby dopomógł wyjść chociażby dzisiaj z niebezpieczeństw tej podróży.

— My zaś ze swojej strony także przeszkadzać Panu Bogu nie będziemy, jeżeli udzieli nam ratunku? nieprawdaż?

— Tak, panie Kazallon, obowiązkiem człowieka jest, ażeby sam sobie dopomagał. Pomimo to Andrzej ma słuszność nie tracąc wiary w pomoc Boga. Prawda, ludzie żeglując po morzu, dowodzą tem samem, że umieją zdobyć władzę, której natura im odmówiła; jednakże na tym oceanie bez granic, kiedy żywioły rozpasają się w chaosie straszliwym, jakże wtedy czujemy że statek nasz jest kruchy, a my sami tacy bezbronni, tacy słabi! Godłem marynarza powinno być: „Ufność w siebie, i wiara w Boga!“

— Jest to zupełnie słuszne panie Letourneur. Dla tego też mało widziałem marynarzy, których dusze byłyby zamkniętemi na uczucie pobożności!

Tak rozmawiając, zbadaliśmy starannie skały formujące spód wysepki i coraz więcej przekonywamy się, że niedawno powstała z łona morskiego.

Ani jedna muszla, ani kawałek rośliny morskiej nie przylgnął do tych bazaltowych słupów. Zwolennik historyi naturalnej nie miałby po co się schylić wśród tych skał, nietkniętych dotąd dłonią nawet roślinności a tem samem niedostępnych dla świata zwierzęcego. Mięczaków i zwierzokrzewów nie znaleźliśmy wcale. Wiatr nie doniósł tam jeszcze nasion, ptaki morskie gniazd sobie nie usłały. Jeden tylko geolog może znaleść tutaj przedmiot do badania nowych formacyj wulkanicznych, wpośród tych złamów bazaltu.

Przed powrotem na Chancellora, zapropónowałem towarzyszom, ażeby przejść się trochę po ziemi, na co z ochotą zgodzili się.

— Należy koniecznie ażeby ludzie zwiedzili tę wysepkę, zanim ją napowrót fale pochłoną, rzekł śmiejąc się młody Andrzej.

Łódka przybiła, i weszliśmy na te skały z bazaltu. Andrzej szedł naprzód, na ile biedny kaleka może chodzić bez opierania się na cudzem ramieniu. Ja szedłem z jego ojcem i tak po bardzo lekkim spadku w kwadrans doszliśmy do szczytu rafy. Tam usiadłszy na pryzmie bazaltowej, Andrzej Letourneur wydobył z kieszeni karnet i zaczął rysować ołówkiem kontury wysepki żywo odrzynające się na zielonem tle morza.

Niebo czyste, morze opadło, odkrywając najdalsze ku południowi rafy, pomiędzy które wpadł Chancellor.

Kształt wysepki jest dość oryginalny, przypomina bowiem szynkę Yorkską z nabrzmieniem w tem miejscu gdzie my siedzimy. Kiedy więc Andrzej skończył rysunek, ojciec rzekł do niego:

— Ależ moje dziecko, wszak ty wyrysowałeś szynkę!

— Tak ojcze, szynkę bazaltową, której by nie podołał nawet żarłoczny Gargantua, i jeśli kapitan Kurtis zezwoli, nadamy jej nazwę Ham-Rock!

—Z pewnością zgodzi się, zawołałem, na tak trafnie dobrane nazwisko, skała Ham-Rock! Niechaj jednak marynarze trzymają się od niej z daleka, bo nie łatwo ją zgryźć.

Chancellor utknął w południowej części wyspy t. j. w samej golonce; ciągle się trzyma pochylony na prawo, co szczególniej teraz przy nizkiem morzu najlepiej daje się widzieć. Kiedy Andrzej Letourneur skończył swój rysunek, zeszliśmy ku zachodniej pochyłości, kiedy nagle prześliczna grota wpadła nam w oczy. Widząc ją można było sądzić, że to jakie dzieło architektury w rodzaju tych któremi natura ozdobiła wyspę Staffa leżącą w gromadzie Hebrydów.

Panowie Letourneur, którzy widzieli grotę Fingala znaleźli tutaj jej powtórzenie w zmniejszonych rozmiarach. Toż samo rozstawienie współśrodkowych graniastosłupów, którego trzymają się zawsze stygnące bazalty; też same stropy z czarnych belek, których końce spojone są żółtawą materyą; taż sama czystość krawędzi pryzm, której nożyce najlepszego sztukatora nic nie mogłyby zarzucić; nareszcie tenże sam szmer powietrza rozbijającego się pomiędzy bazaltowemi słupami, z którego poeci potrafili stworzyć dźwięk arf Fingala.

W Staffie podłogę zastępuje tafla wody, tutaj zaś morze tylko dostaje się w czasie wielkiej burzy i szczelnie spojone słupy pryzmatyczne, formują bruk wiekuistej trwałości.

—Doprawdy, zauważył Andrzej Letourneur, grota Fingala jest olbrzymią gotycką świątynią, ta zaś jest zaledwie kaplicą przy tej katedrze. Któż jednak mógł się spodziewać, że tak cudowną rzecz możemy spotkać w pośrodku oceanu, na brzegu tych raf nieznanych!

Odpocząwszy z godzinę w grocie, wróciliśmy ponad brzegiem do okrętu, gdzie zawiadomiliśmy Roberta Kurtis o naszych odkryciach, ten zaś zapisał wyspę na mappie pod imieniem wymyślonem przez Andrzeja Letourneur.

Podczas następnych dni codziennie powracaliśmy do groty Ham-Rock, gdzie mile nam czas upływał. Robert Kurtis także ją zwiedził wraz z nami; zbyt jednak wiele ma na głowie kłopotów, ażeby miał jeszcze czas na uwielbianie cudów natury. Falsten także raz tam poszedł zbadać naturę skał i ze skrupu latnością geologa obtłuc kilka kawałków. Pan Kear nie chciał sobie robić subjekcyi schodzeniem z okrętu; proponowałem pani Kear ażeby nam kiedy towarzyszyła w naszych wycieczkach, obawia się jednak wsiąść w łódkę; myśl zaś najmniejszego zmęczenia już ją przeraża. Pan Letourneur proponował także pannie Herbey czy by nie zechciała zwiedzić wysepki. Dziewczę z radością przyjęło tę propozycyę. Szczęśliwa że choć na chwilę uniknie kapryśnej tyranii swojej pani. Kiedy jednak prosiła pani Kear o pozwolenie odpłynięcia z pokładu, pani Kear stanowczo odmówiła. Oburzyło mię takie szkaradne postępowanie i ująłem się za miss Herbey. Samolubna pasażerka widząc że kilkakrotnie świadczyłem jej rozmaite grzeczności i że może ich nadal jeszcze potrzebować, zgodziła się nareszcie pozwalając raz na zawsze pannie Herbey dotrzymywać nam towarzystwa, w przechadzce pomiędzy skałami. Łowiliśmy często ryby przy brzegach półwyspu, wesołe wyprawiali śniadanka w grocie, przy dźwięku skał bazaltowych. Szczęściem prawdziwem dla nas jest widzieć, jaką przyjemność sprawiamy pannie Herbey, temi kilkoma godzinkami wolności. Na tej małej wysepce, biedna kobieta znalazła więcej szczęścia, niż świat cały dał jej od urodzenia. My wszyscy także przywiązaliśmy się bardzo do tej nagiej skały, której każdy kamyczek i każdą ścieżkę znamy już doskonale, bo kilkakrotnie przebiegaliśmy ją wesoło.

W porównaniu z pokładem Chancellora obszerne to mieszkanie, które porzucimy z żalem w chwili odjazdu, przynajmniej niektórzy.

Wspominając wyspę Staffa Andrzej Letourneur dodał że należy do familii Mac-Donald, która ją wypuszcza w dzierżawę za 300 franków rocznie.

— Czy sądzicie panowie, że za wynajęcie naszej wyspy, zapłacił by kto rocznie choć setną część tej summy? zapytała miss Herbey.

— Ja sądzę miss, że ani grosza niktby nie dał. Czy pani ma zamiar zabrać ją na własność?

—Nie panie Kazallon, odrzekło dziewczę, a jednak, to jedyny kącik na świecie gdzie wolno mi było być szczęśliwą.

— I gdzie ja byłem szczęśliwy, szepnął Andrzej.

Wieleż cierpień ukrytych mieści się w tej odpowiedzi panny Herbey. Biedna dziewczyna, sierota, bez przyjaciół, znalazła chwilkę szczęścia na bezludnej skale, wpośród Atlantyku.

XIX.

Przez pierwsze pięć dni po utknięciu, ostry i gęsty dym wydobywał się z wnętrza Chancellora, potem zmniejszając się coraz więcej znikł nareszcie, tak że od szóstego listopada uważamy pożar, jako ugaszony. Ażeby nie zaniedbać jednak wszelkich środków ostrożności, Robert Kurtis każe bezustannie pompować wodę, tak że pudło okrętu zalane jest prawie całkowicie aż do samego pomostu. Z odpływem jednak morza, woda opada w okręcie i dwie płynne powierzchnie układają się do jednakowego poziomu, co dowodzi podług zdania Kurtisa że otwór musi być bardzo znaczny, jeżeli woda tak szybko może odpływać. Rzeczywiście jeden z majtków zanurzywszy się podczas nizkiego morza znalazł miejsce i zmierzył otwór wynoszący przeszło cztery stopy kwadratowe. Woda otworzyła sobie drogę w odległości trzydzieści stóp od rudla i szczyt skał roztrzaskał trzy deski o parę stóp od głównego wiązadła spodu. Uderzenie nastąpiło z nadzwyczajną gwałtownością, z powodu wzburzenia morza i ciężkiego obładowania statku.

Dziwić się nawet wypada, że pudło okrętu nie rozpękło się odrazu w wielu miejscach. Po wydobyciu dopiero ładunku cieśla będzie mógł osądzić, o ile uszkodzenie da się tymczasowo naprawić. Całych dwóch dni jednak potrzeba na to, ażeby dostać się wewnątrz Chancellora i wydobyć paki bawełny niespalonej. Przez ten czas Robert Kurtis i załoga nie tracili ani jednej minuty, dokonywając przygotowawczych prac.

Podniesiono więc złamany przy utknięciu, następnie zaś schwytany maszt tylny. Pozostały pień cieśla Daulas zafugował i obie części złamane spojono silnem okuciem z żelaza. Kurtis odbył przegląd całego opatrzenia okrętu; żagle, liny, na nowo umocniono, bocianie gniazdo przyprowadzono do porządku, tak że będziemy mogli puścić się na morze z zupełnem bezpieczeństwem. Na kończynach okrętu wiele pozostało do roboty, albowiem pożar silnie uszkodził koszary i werendę. Trzeba to wszystko przyprowadzić do poprzedniego stanu, co wymaga wiele czasu i starań. Czasu nam nie brak zupełnie, starań także nie szczędzimy, robota więc szybko postępowała i powróciliśmy nareszcie do naszych kajut.

Ósmego dopiero przystąpiono do zupełnego wyładowania okrętu. Paki bawełny zalanej wodą i po większej części zniszczonej, są tak ciężkie że musieliśmy dopomagać załodze przy wyciągnięciu każdej sztuki za pomocą ustawionych umyślnie bloków. Każdą z tych pak osobno przewieźliśmy na łódce i wyrzucili na skały.

Po usunięciu w ten sposób pierwszej warstwy należało wziąć się do wyciągnięcia wody napełniającej spód okrętu, a stąd wypłynęła konieczność zatkania jak najszczelniej otworu wybitego przez skały w pudle okrętu. Trudna to praca, a jednak majtek Flaypol i bosman wywiązali się z niej z gorliwością przewyższającą wszelkie pochwały. Potrafili oni nurzając się w czasie nizkiego morza aż do samego dna okrętu, zakryć dziurę kawałem blachy miedzianej. Z obawy jednak że blacha nie zdoła wytrzymać zewnętrznego parcia, kiedy pompy obniżą poziom wody napełniającej okręt, Robert Kurtis sprobował wzmocnić opór naładowaniem skrzyń bawełny na przedziurawione deski. Materyału nie zabrakło, wkrótce więc wnętrze Chancellora wywatowano ciężkiemi i nieprzesiękającemi pakami, przy których pomocy spodziewano się nadać blasze wystarczającą siłę oporu.

Pomysł kapitana udał się wybornie: widać to w miarę działania pomp. Poziom wody obniża się coraz więcej w środku okrętu i załoga może usuwać jedną po drugiej pakę bawełny. Okazuje się z tego że będziemy w możności dostać się do otworu i wyreperować go ze środka. Zapewne byłoby lepiej przewrócić okręt na bok i zmienić strzaskane deski, brak jednak środków do wykonania tak wielkiej roboty. Zresztą obawiamy się ażeby niepogody nienastały w czasie kiedy okręt leżał by na boku, zdany na łaskę gwałtowności morza. Mam sobie za obowiązek nawet uspokoić was, powiedział Kurtis, że wstrzymamy zupełnie dostawanie się wody do środka i nie zadługo sprobujemy dopłynąć do lądu w warunkach dostatecznego bezpieczeństwa.

Po dwóch dniach pracy wylano znaczną część wody i wyładowanie ostatnich pak bawełny nastąpiło bez żadnej szkody. Musieliśmy także z kolei pomagać załodze, co też każdy pełnił z całą sumiennością i o ile siły na to pozwalały. Nawet Andrzej Letourneur pomimo kalectwa nie dał wyprzedzić się nikomu. A jednak to męcząca praca pompowanie; dłuko wytrzymać nie można bez odpoczynku. Ręce i nogi omdlewają wkrótce od drąga, nie dziwię się więc że majtkowe tak się lękają tej roboty. Nadto wykonywamy ją w szczęśliwych okolicznościach, bo statek jest na twardym gruncie nie zaś na otchłani mogącej nas pochłonąć. Nie bronimy życia swojego przeciwko natarciu morza, nie ma walki pomiędzy nami i wodą, któraby wracała w miarę jak ją wylewają. Niech niebo nas strzeże od podobnej próby na tonącym okręcie.

XX.

Od 15 do 20 października. Dzisiaj zwiedzono całe wnętrze okrętu, przyczem znalezionem zostało i pudło pikratu w tyle okrętu w miejscu do którego ogień na szczęście nie doszedł. Pudło jest nietknięte, nawet woda nie zepsuła materyi wybuchowej. Złożono je na końcu wysepki. Nie wiem dla czego nie wrzucili go zaraz morze. Robert Kurtis i Daulas przekonali się że pomost i podtrzymujące go belki mniej ucierpiały niżeli się spodziewali. Silne gorąco, na które te grube deski i potężne podpory były wystawione powyginało je, nie przepalając do głębi. Działanie zaś ognia daleko silniej wywarło się na pudło statku. W istocie na bardzo długiej przestrzeni podbitka jest strawiona od ognia. Końce krzywek zwęglone, sterczą tu i ówdzie; cały skielet silnie jest uszkodzony. Pakuły wyskoczyły we wszystkich spojeniach i można uważać za cud że okręt nie rozstąpił się od dawna. Są to bardzo smutne okoliczności, z któremi musimy się rachować. Chancellor jest tak silnie uszkodzony, że Robert Kurtis widocznie nie może wyłatać go przy skromnych środkach jakiemi rozporządza i nie będzie w stanie dać okrętowi pewności przebycia długiej podróży. Stąd kapitan i cieśla bardzo są zakłopotani, szkody są tak znaczne, że gdybyśmy znajdowali się na wyspie nie zaś na skale z której ocean w każdej chwili mogłby nas znieść, Kurtis nie wahałby się ani chwili rozebrać statek i zbudować mniejszy, któremu możnaby na pewno zawierzyć. Kurtis szybko się zdecydował, zebrał nas wszystkich pasażerów i załogę na pokład Chancellora i powiedział:

—Mo przyjaciele, okręt jest daleko więcej zepsuty niż przypuszczaliśmy, szczególniej się to odnosi do samego pudła. Ponieważ z jednej strony nie mamy środków zreperowania go, z drugiej zaś na tej wyspie skalistej gdzie jesteśmy na łasce morza, nie możemy pozostawać aż do zrobienia nowego statku, proponuję więc, żeby zatkać otwór jak najmocniej i dążyć do najbliższego lądu. Stąd do Guyany holenderskiej jest wszystkiego 800 mil, którą to drogę przy pomyślnym wietrze w ciągu 10 do 12 dni przebyć możemy, dostając się do Paramaribo na samej północy Guyany leżącego.

Nic innego nie pozostaje do zrobienia; tak więc wniosek kapitana wszyscy jednogłośnie przyjęliśmy.

Daulas z pomocnikami wziął się do załatania ze środka otworu i do wzmocnienia o ile się da wiązań zniszczonych przez ogień.

Widocznie jednak Chancellor nie przedstawia już dostatecznego bezpieczeństwa i w pierwszym porcie musi być rozebranym.

Cieśla załatał także zewnętrze spojenia desek, w części pudła ukazującej się przy nizkiem morzu, nie może się jednak dobrać do części ukrytej pod wodą i ze środka ją tylko reperuje.

Różne te prace trwały aż do 20. Kiedy już ukończono wszystko co było w mocy ludzkiej, ażeby doprowadzić okręt do stanu używalności, Robert Kurtis zdecydował się spuścić go na morze.

Podczas wyładowania Chancellor unosił się na wodzie nawet w czasie odpływu morza. Dla zabezpieczenia się od wpadnięcia na rafy spuszczono przednią i tylną kotwicę i tym sposobem pozostał w basenie naturalnym, broniony na prawo i na lewo przez skały, nie zatapiające się nawet w czasie przypływu morza.

Basen jest tak szeroki że pozwoli wykręcić okręt przy pomocy drągów wspartych na skałach. Zdaje się więc że wydobycie się Chancellora na morze odbędzie się z łatwością, przy podniesionych żaglach jeśli będzie wiatr

pomyślny, albo też holowaniem jeśli będzie przeciwny.

Cała czynność jednak przedstawia trudności do zwalczenia. Sam wchód w przejście jest zabarykadowany rodzajem grzebienia z bazaltu, ponad którym przy największym przypływie głębokość wody zaledwie wystarcza na przeciągnięcie Chancellora, chociażby zupełnie próżnego. W czasie utknięcia statek podrzucony przez olbrzymią falę, która go podniosła i rzuciła następnie w bassen przeskoczył przez grzebień. Oprócz tego wówczas przybór z powodu nowiu księżyca i porównania dnia z nocą, był z całego roku największy.

Robert Kurtis nie może czekać kilku miesięcy, i musi korzystać z pełnego morza, aby wyswobodzić okręt.

Wiatr jest dobry, bo wieje z północo-wschodu a więc w kierunku przesmyku. Ale kapitan słusznie nie spieszy się z rozwinięciem wszystkich żagli okrętu, którego moc jest bardzo wątpliwa, i który może być zatrzymany za najmniejszą przeszkodą. Po naradzeniu z porucznikiem Walterem, cieślą i bosmanem, kapitan zdecydował się za pomocą lin przyciągnąć okręt. Na wszelki przypadek, gdyby to przedsiewzięcie nie udało się, kotwicę przymocowano w tyle, aby powrót mieć zabezpieczony; dwie drugie kotwice umieszczono na zewnątrz przesmyka, którego długość nie przechodzi dwustu stóp. Łańcuchy przyczepiono do wind, załoga wzięła się do drągów i o czwartej godzinie z wieczora Chancellor zaczyna się ruszać.

O godz. czwartej minut 23 przypływ ma nastąpić a więc na dziesięć minut przedtem dociągnęliśmy okręt, jak można było najdalej, to jest dopóki przód pudła nie dotknął zapory.

Teraz więc Robert Kurtis, ażeby oprócz pracy wind zużytkować siłę wiatru, kazał podnieść żagle górne i dolne.

Stanowcza chwila nadeszła. Morze doszło najwyższej wysokości. Podróżni i załoga trzymają za drągi od wind, pp. Letourneur, Falsten i ja podpieramy z prawej strony. Kapitan stanął na wystawce z uwagą zwróconą na żagle, porucznik na przodzie, bosman przy rudlu.

Chancellor drgnął kilka razy, i wzdymające się, ale na szczęście zupełnie spokojne morze z łatwością go unosi.

— Razem bracia, woła Kurtis spokojnym i wzbudzającym zaufanie głosem, ostro i razem. Jazda!

Windy poruszone, słychać szczęk łańcuchów przyczepionych do otworów na przodzie okrętu będących. Wiatr także silniej dmie i maszty gną się pod jego powiewem. Przesliśmy dwadzieścia stóp. Jeden z majtków zaśpiewał piosenkę, gardłowym wprawdzie głosem, ale rytm jej wybornie pomagał do ujednostajnienia poruszeń.

Dołożyliśmy siły, co tylko się dało, Chancellor drga. Próżne jednak starania, morze zaczyna odpływać. Nie przejdziemy.

Odtąd przekonaliśmy się że okręt nie przejdzie, nie można pozwolić ażeby choć chwilę pozostał oparty na zaporze jak huśtawka; przy zniżeniu się wody, pękłby niezawodnie w samym środku. Zwinęliśmy więc natychmiast żagle i kotwica z tyłu zapuszczona, posłużyła nam do cofnięcia się. Nie mamy jednej chwili do stracenia, kręcą windami napowrót i po chwili straszliwej obawy, Chancellor zsunął się na pudle i powrócił do basenu, z którego jak z więzienia pragnął wydostać się.

— A więc kapitanie, zapytał bosman, co dalej robić, jakże przejdziemy.

— Niewiem jeszcze, odrzekł Kurtis, ale przejechać musimy.

XXI.

Od dnia 21 do 23 listopada. Trzeba nam koniecznie, bez namysłu porzucić ten szczupły basen. Pogoda sprzyjająca nam przez cały listopad, grozi odmianą. Barometr opadł od rana, i bałwany zaczynają się kołysać na około Ham-Rock. Wysepka nie będzie mogła ostać się wiatrom i Chancellor zostałby zupełnie zdruzgotany.

Tegoż wieczora Robert Kurtis, Falsten, bosman, Daulas i ja zwiedziliśmy podstawę bazaltową. Jeden jest tylko sposób utorowania przejścia, t. j. drągami szturmować podstawę dziesięć stóp na szerokość a sześć na długość mającą. Obniżenie na ośm lub dziewięć cali wody i staranne opatrzenie kanału powinno wystarczyć Chancellorowi do wydobycia się na miejsce, gdzie wody stają się nadzwyczaj głębokie.

—Ależ ten bazalt ma twardość granitu, robi uwagę bosman, i praca będzie bardzo długą, tem bardziej, że nie będzie mogła być prowadzoną, jak dwie godziny dziennie przy odpływie morza.

— A więc nie tracimy ani chwili, odpowiedział Kurtis.

— Eh! kapitanie, odzywa się Daulas, będzie roboty na miesiąc! Czy nie byłoby możebnem wysadzić w powietrze te skały. Proch jest na brzegu.

— W zamałej ilości, odpowiedział bosman.

Położenie jest nadzwyczaj ważne. Miesiąc pracy? Ależ przed upływem miesiąca statek zostanie zniszczony przez morze!

— Mamy coś lepszego od prochu, odezwał się Falsten.

— Cóż takiego? zapytał Robert Kurtis, odwracając się do inżyniera.

— Pikrat potassu! odpowiedział Falsten.

Pikrat potassu! zabrany przez nieszczęśliwego Ruby. Materya wybuchająca, która o mało nie wysadziła w powietrze okrętu, usunie przeszkodę. Dziura prześwidrowana w bazalcie, skruszy grzebień.

Pudło z pikratem, jak już mówiłem, złożone jest na rafie w miejscu pewnem. Opatrzność sama czuwała nad nami, i przeszkodziła nam wrzucić go w morze, po wydobyciu ze spodu okrętu.

Majtkowie poszli po drągi a Daulas pod przewodnictwem Falstena zaczyna dziurę wydrążać w miejscu z którego skutek może być najpewniejszym. Wszystko zdaje się nam przepowiadać że dołek będzie skończony w nocy, że nazajutrz ze wschodem słońca, eksplozya zrobi pożądany skutek i przejście będzie wolne. Wiadomo że kwas pikratowy jest produktem krystalicznym i gorzkim, wytworzonym z smoły i węgla kamiennego i przez połączenie się z potassem tworzy sól żółtą, zwaną pikratem potassu. Siła wybuchowa tej materyi jest niższą niżeli bawełny strzelniczej i dynamitu, ale wyższą od prochu zwyczajnego. Co do zapalenia, to można z łatwością je wywołać uderzeniem gwałtownem, do czego użyjemy kapiszona.

Robota Daulasa przy pomocy ludzi całą noc była prowadzoną gorliwie, ale daleką była do końca za nadejściem dnia. Rzeczywiście, tylko podczas odpływu morza, co trwa zaledwie godzinę, można świdrować dołek; wypływa więc z tego że 4 odpływy są niezbędne, aby mu dać wymagalną głębokość.

29 listopada robota została nareszcie skończoną. Podstawa bazaltowa przedziurawiona dostatecznym otworem do pomieszczenia 12 funtów soli wybuchowej, co bezwłocznie ma być wykonane.

W chwili kładzenia pikratu do dołka Falsten robi uwagę, że lepiej byłoby go pomięszać z prochem. To by nam pozwoliło podpalić minę lontem zamiast kapiszonem, bo wtedy wybuch trzebaby spowodować uderzeniem, a za pomocą lontu będzie daleko łatwiej. Zresztą jest dowiedzionem że użycie jednoczesne pikratu i prochu, lepszem jest do spowodowania wybuchu skał twardych. Pikrat z natury daleko gwałtowniejszy, ułatwi wybuch prochu, który powolniejszy do zapalenia posiada za to większą objętość i rozsadzi nakoniec bazalt.

Inżynier Falsten nie często mówi, ale jeśli mówi, to trzeba przyznać że dobrze. Jego radę wykonano. Zmięszano obie substancye, i po przeprowadzeniu knota aż do środka dziury, wsypuję tę mieszaninę która ją szczelnie wypełnia.

Chancellor jest o tyle oddalony od miny, że eksplozyi nie potrzebuje się obawiać. Mimo to przez ostrożność, passażerowie schronili się na koniec skały do groty, i pani Kear musiała opuścić okręt. Następnie Falsten podpaliwszy knot, przyłączył się do nas.

Eksplozya nastąpiła. Była głuchą i daleko mniej huczną niżeli można było się spodziewać, ale to jest zwyczajny skutek min wydrążonych głęboko. Pobiegliśmy ku zawadzie. Operacya udała się doskonale. Podstawa bazaltowa została zupełnie w pył obroconą, i mały kanał, który morze przybywające zaczyna wypełniać, znosi przeszkodę i daje przejście wolne.

Hurah! ogólne wybuchło. Drzwi od więzienia otwarte, i więźnie mogą uciekać!

Za przypływem morza Chancellor ciągniony na kotwicach, przebywa przesmyk i buja na wolnem morzu. Ale jeszcze cały dzień musi pozostać w bliskości wysepki, bo w warunkach jakich się znajduje nie może być kierowanym, niezbędnem jest zaopatrzenie się w balast, aby zabezpieczyć równowagę. Przez dwadzieścia cztery godzin załoga pracuje nad ładowaniem kamieni, i najmniej uszkodzonych pak bawełny.

Przez cały ten dzień pp. Letourneur, miss Herbey i ja zwiedzamy bazalty tej wysepki, której zapewne nigdy już nie ujrzemy, a na której przebyliśmy trzy tygodnie. Nazwisko Chancellora, skały, data osadzenia, są artystycznie wyrżnięte na jednej ścianie groty, i ostatnie pożegnanie jest powiedziane tym skałom, na któ-

rych pobyt są tacy co zaliczą do najpiękniejszych dni swego życia.

Nakoniec 24 listopada z rannym przypływem Chancellor rozpuścił dolne żagle, żagiel wielkiego masztu i rei na bocianiem gnieździe a w dwie godziny potem utraciliśmy z oczu ostatni szczyt Ham-Rock. d. c. n.

BIBLIOTECZKA DOMOWA.

Kajetan Kraszewski. *Koniuszyc brzeski.* Opowiadanie. Lwów. Nakł. Gubrynowicza i Schmidta. 1876 r., 8-ka, str. 182, cena rs. 1.

Barwna postać Radziwiłła „panie kochanku," służyła już za przedmiot do wielu cennych płodów piśmiennictwa belletrystycznego. Niedawno z nieporównanym artyzmem, skreślił ostatnie chwile wojewody, znakomity nestor powieściopisarstwa naszego, J. I. Kraszewski. Niniejsza powieść, utwór brata jego, przedstawia barwny bardzo i charakterystyczny obrazek, na tle dziejowem skreślony. Zaleca go dziwna prostota i łatwość opowiadania. Stary a jędrny język pięknie brzmi w ustach bohaterów utworu. Osnowa powieści jest bardzo prosta. W czasie zaburzeń politycznych, gdy potrzeba było ukryć drogocenne skarby książęce, szlachcic Lutomski, ekonom jednego z folwarków wojewody, przechowuje złotą jego kolaskę. Książę sowicie nagradza uczciwość sługi, folwark przekazuje mu na własność, a córkę, młodziutką i piękną Kunegundę, postanawia sam wyswatać. Lecz w sercu panienki zagorzał już był płomień miłości do młodego rycerza Paszkowskiego. Ale ojciec młodzieńca, stary koniuszy brzeski, nie pozwala synowi na koligacyą z córką ekonomską. Młodzi przez długie lata zachowują wiernie miłość wzajemną. Zmienia się też postać rzeczy. Wojewoda, dowiedziawszy się o wzajemnej skłonności do siebie młodych ludzi, jedzie natychmiast w swaty. Lubił on bardzo Paszkowskiego, gdyż dzielny ten chłopak dobrze się spisywał i raz nawet wielce księciu wojewodzie się przysłużył. Rzecz się kończy sutem weselem, które sam Radziwiłł młodej parze wyprawił.

Postać wojewody skreślił autor żywemi dosyć i dosadnemi barwami. Charakterystyka jest tu może zbyt jednostronną, nie widzimy bowiem wielu znanych przymiotów księcia, nie mniej jednakże postać ta występuje nader wyraźnie z nieporównaną przytem prostotą i prawdą.

Żywo broni autor Radziwiłła, „panie kochanku." „Ci ze współczesnych, powiada on, którzy księcia wojewodę, w nie dobrem przedstawiali świetle, czynili to ze złej woli i niechęci; ci zaś, którzy za nimi zdanie to dziś powtarzają, na złe natrafili źródła i z żywej nie czerpali tradycyi. Jeżeli książę Radziwiłł był nawet kiedy dumnym, zaiste miał z czego. Przypomnijmy sobie, że naonczas panowie, którzy historyczne i znakomite nosili imiona, w znacznej większości, do której i wojewoda należał, czuli dobrze, do czego ich to nazwisko obowiązywało; wiedzieli, że ono nie do nich, lecz do narodu należy." Był on wielce hojny; miał też przyjaciół i wiernych sług nie mało, i ich też nagradzać umiał, a wspomagać prawdziwie po Radziwiłłowsku.

Inne postacie autora nie mniej dosadnemi, aczkolwiek dorywczemi skreślone są barwami. Powieść sama dosyć szkicowo skreślona, nie odznacza się może umiejętną budową, ale mimo to, ma znaczenie miłej i barwnej staroszlacheckiej pogadanki. *A. P.*

(Autorowie i wydawcy życzący sobie izby o ich pracach lub wydaniach wzmiankowano w **„Opiekunie Domowym"** raczą nadsyłać do redakcyi egzemplarz dzieła wydanego.)

Z MIASTA, KRAJU I ŚWIATA.

— „Nareszcie zdarzył się, i to raz pierwszy w tym karnawale bal, na którym można było widzieć pięknie tańczących." Tak się zaczyna zamieszczona w wiedeńskim „Tagblacie" z d. 26 lutego b. r. wiadomość o balu w sali Zofii w Wiedniu, wyprawionym przez galicyjskich studentów na korzyść dotkniętych klęską głodową Galicyan oraz górników Bochni, którzy ucierpieli przy wydarzonej tam katastrofie. Protektorat balu przyjąć raczył dawniejszy namiestnik Galicyi arcyksiążę Karol Ludwik, a ponieważ zasłabł, zatem wyręczył go brat, arcyksiążę Ludwik Wiktor. Opiekunkami balu były księżna Joanna Auersperg, hrabina Katarzyna Andrassy, Maryanna Larisch, Baworowska, Potocka, żona posła Ziemiałkowskiego i w. i. Z pomiędzy obecnych na balu wymienimy arcyksiążąt Albrechta i Rajnera, ministrów Ziemiałkowskiego, księcia Auersperga, hr. Mannsfelda i półkownika Horsta, dalej księcia Sasko-Wejmarskiego, książąt: Jabłonowskiego, Czartoryjskiego, Szwarzenberga, tureckiego posła Aarifi-baszę, posłów: Wejgla, Kamińskiego i Kochanowskiego, słowem bal zgromadził „wyżyny towarzystwa."

A jednak w początku balu była chwila nader przykra dla urządzających takowy. Zdarzyło się to, co i u nas dosyć często miewa miejsce: Po 10-tej, gdy wśród dźwięków otwierającego bal poloneza opiekunki weszły w uroczystym pochodzie, na sali było pusto, czyli, wedle grzecznego wyrażenia „Tagblattu," niezwykle wygodnie tancerzom było tańczyć. Na szczęście wkrótce sala się zapełniła i życie zawrzało.

Szczególne wrażenie robił na Niemcach mazur. Jedni znajdowali go bardzo miłem urozmaiceniem zwykłych salonowych tańców, w których rezolutne wywijanie łokciami zastępuje staranne *pas*, a zamiast wytrwałych nóg dostatecznem jest mieć niezbyt czułe żebra. Według innych żywy takt ósemkowy niestosownym jest przy ogonach z każdym karnawałem dłuższych i przy kusych męzkich fraczkach.

Jednakże niezadowoleni nawet przyznają, że widzieć tańczącą mazura taką piękność, jak córka posła Kamińskiego, jest dostateczną nagrodą na to, że się mazura tańczonego widzi.

— W roku bieżącym wskutek decyzyi ministra spraw wewnętrznych powiększone zostały fundusze na utrzymanie szkół początkowych i rzemieślniczych w Warszawie. Dla pierwszych assygnowane będzie w r. 1876 z funduszów miejskich rs. 22,985, dla drugich rs. 11,775. Oprócz tego, dla szkół początkowych wyznania mojżeszowego przyznano rs. 7,866 kop. 50.

— Aktem darowizny zdziałanym w r. z. w m. lipcu, wdowa Felicya Fontana z domu Trester, zaofiarowała rs. 1,500 na utworzenie stypendyum przy Okręgu Naukowym Warszawskim. Procent od rzeczonej summy jako stypendyum ma być corocznie przeznaczonym dla uczennicy jednej ze szkół rządowych m. Warszawy, religii katolickiej. Pierwszeństwo przed innemi mają sieroty pozostałe po nauczycielach i urzędnikach Okręgu Naukowego-Warszawskiego.

— Nieprawdziwy niedźwiedź. Oryginalnego rodzaju sprawa ma wkrótce być sądzoną w 7-mej izbie sądowej w Paryżu. Oskarzyciel: pan Mansart, właściciel menażeryi, czasowo w St Cloud. Oskarżony: pan Bertod, rodem Szwajcar, handluje dzikiemi zwierzętami. Widziany przez pana Mansart w klatce niedźwiedź bardzo mu się spodobał i zakupił go za 800 franków. Nazajutrz niedźwiedź został mu odstawionym, zginął jednak w przeciągu jednej godziny. Pan Mansart utrzymuje teraz, że zamiast niedźwiedzia, odstawionym mu został „człowiek w niedźwiedziej skórze," który skoro sam się znalazł bez ceremonii czmychnął. Ma ku temu najpewniejsze dowody.

OD REDAKCYI.

„Opiekun Domowy" w przyszłym kwartale r. b. wychodzić będzie w tym samym formacie i treści i pod tą samą jak dotąd Redakcyą.

Przedpłata wynosi

w WARSZAWIE:

Rocznie	**Rsr. 6**	**kop. —**
Półrocznie	**„ 3**	**„ —**
Kwartalnie	**„ 1**	**„ 50**
Miesięcznie	**„ —**	**„ 50**

Za odniesienie do domu nic się nie dopłaca.

Na PROWINCYI i w CESARSTWIE prenumerata łącznie z opakowaniem i kosztami przesyłki wynosi:

Rocznie	**Rsr. 8**
Półrocznie	**„ 4**
Kwartalnie	**„ 2**

Adres Wydawcy: Ulica Ś-to Jerska Nr. 12 nowy.

Dla uniknienia zwłoki w wysyłce Numerów pisma, Redakcya ma zaszczyt upraszać o wczesne nadsyłanie zamówień, przy wypisaniu dokładnego adresu pod jakim pismo ma być przesyłane.

OGŁOSZENIA.

Дозволено Цензурою. Варшава 3 (15) Марта 1876 г.

W drukarni J. Korzeniewskiego.— Warszawa, St.-Jerska, Nr. 1769a (12 nowy)

Wydawca J. Korzeniewski.

Redaktor Henryk Perzyński.